

opusdei.org

Wspomnienia o świętym Josemarii Escrivie - założycielu Opus Dei

Rozmowa z bp. Javierem
Echevarrią prałatem Opus Dei.
Wydawnictwo MIC 2006.

02-10-2019

Kapłan, który ukochał świat

1. Nędzne źródło ubóstwa i miłości

- Pamiętam dobrze tę scenę. 22 listopada 1972 roku, sala gimnastyczna Szkoły Brafa, przemieniona w aulę, wypełniona po brzegi, a w centrum ksiądz Escrivá. Pada pytanie, gdzie jest mowa o ludziach, którzy całymi dniami narzekają na to, co się wokół nich dzieje: „Ojcze, co możemy zrobić, aby pomóc w walce przeciwko tej krytyce, tym żalom i tej całej pesymistycznej wizji? I natychmiastowa odpowiedź, w duchu zrozumienia, zakotwiczona w przekonaniu o własnej słabości: **Miałem i nadal mam wiele wad. Cóż, któż ich nie ma? Tego, który nie ma wad, lepiej od razu umieścić w muzeum...! Ja mam wiele ułomności i od dziecka z nimi walczę, i dopóki będę żył, będę walczył.**

Kiedy przyglądamy się Założycielowi Opus Dei, te wady stają się niczym w obliczu wielkości podejmowanej przez niego walki, która doprowadziła go do praktykowania cnót w stopniu heroicznym, jak to ogłosił w 1990 roku Ojciec Święty Jan Paweł II. Ale właśnie te niezauważane przez innych wady, czy cnoty w sposób przesadny przez nich wychwalane, w rozmiłowanym sercu wywoływały reakcje najbardziej bolesne. Nie sposób tego wyjaśnić w oderwaniu od modlitwy Magnificat, którą ksiądz Escrivá de Balaguer nieustannie odmawiał, co sprawiło, że podczas obchodów złotej rocznicy święceń kapłańskich w 1975 roku czuł się niczym **gaworzące dziecko**.

Wobec nas, którzy tylko od czasu do czasu widzieliśmy Założyciela Opus Dei i byliśmy wówczas gorąco zachęcani do współpracy z wolą Bożą, jego wady – niedoskonałości - były jakby zakryte. To samo przydarzyło

się księdzu Javier Echevarría, zgodnie z jego wspomnieniem z 1950 roku, podczas wspólnego pobytu formacyjnego w Castelgandolfo.

Miało to miejsce pod koniec sierpnia. Zdałem sobie sprawę, że skoro my będąc w Castelgandolfo z ledwością znosimy upał, to coś dopiero ksiądz Escrivá de Balaguer, który pozostał w Rzymie. Miał zwyczaj codziennie około piątej po południu przyjeżdżać fiatem „topolino” – w towarzystwie księdza Álvaro del Portillo i kogoś jeszcze – aby osobiście zajmować się formacją pierwszych członków Opus Dei włoskiego pochodzenia i tych, którzy przybyli z innych krajów.

Pouczał nas o duchu Dzieła, rozmawiając o naszym życiu i udzielając nam wiele rad przydatnych w walce o świętość. Podejmował to zadanie po całym dniu pracy, w którym poza kierowaniem Opus Dei, zajmował się

dodatkowo budową siedziby centralnej, która w tym czasie z powodu braku środków posuwała się z wielkim trudem.

Wówczas nie zdawałem sobie sprawy z wielkiego ciężaru, jaki wziął na swoje barki, ani z jego wycieńczenia, które było spowodowane ciężkim przypadkiem cukrzycy. Jego miłość i poświęcenie przewyższały te przeszkody. Gdy w sposób porywający przekazywał nam swoją radość i oddanie, zupełnie zapominał o sobie.

- Myślę, że była to stała zasada. Za jego uśmiechem i nieustannie dobrym humorem trudno było dostrzec kłopoty i cierpienie. Otwarcie zwierzał się jedynie Custodes w poufnych rozmowach prowadzonych prawie nieustannie. Ksiądz Javier Echevarría bardzo szybko miał okazję poznać z bliska tę

świątynię wewnętrznej walki księdza Escrivy.

Byłem *Custos* przez prawie dwadzieścia lat i mogę powiedzieć, że zawsze dziękował za otrzymywane od nas wskazówki czy uwagi, które mu robiliśmy. Nie meczył się walką, dzięki której przybliżał się coraz bardziej do Pana. Z zapalem zakochanej osoby, która pragnie okazać całą swoją miłość Temu, którego kocha, zmagał się z najmniejszymi wadami: codziennie, w tym co trudne i w tym co łatwe, w pracach ważnych i w takich, które wydają się niepozorne.

Miał zwyczaj nie odkładania niczego na później, szczególnie jeśli musiał coś poprawić: gdy tylko to dostrzegł lub gdy mu na coś zwróciliśmy uwagę, dokładał wszelkich starań, aby niczego nie zostawiać na następny dzień. Nie usprawiedliwiał się nawet zmęczeniem i z całych sił

pracował nad poprawą swojego charakteru i pogłębieniem pragnienia kochania Boga coraz bardziej. Z jego ust płynęły rady pełne zapachu i Bożej pedagogii: **Oto co zazwyczaj doradzam: do dobrych rzeczy zabierać się czym prędzej! a przecież w powierzaniu się Bogu nie wiążą nas żadne łańcuchy, mamy wolność dawania siebie zawsze więcej.** Starał się, aby jego odpowiedź nigdy nie była poniżej poziomu tego, o co prosi Bóg. Dlatego nie przestawał błagać Pana o przebaczenie za wszystkie zaniedbania w swoim życiu, za nieuwagę w Bożych sprawach.

Aż do ostatniego dnia na tej ziemi prosił swoich synów *Custodes*, aby mu pomogli stawać się coraz bardziej pobożnym, bardziej radosnym, większym optymistą, dokładniej wypełniać swoje obowiązki, lepiej znosić chorobę, pracować bez wytchnienia z całkowitym

poświęceniem. Myślę, że mogę obiektywnie stwierdzić, iż nigdy świadomie nie powiedział nie Panu Bogu i nigdy nie odpowiedział połowicznie na Boże prośby.

Innym doradzał to, czym sam żył:
„Trzeba zawsze być przygotowanym i mieć świadomość, że w każdym momencie naszego życia może przyjść chwila ostatniej walki”.
Wyrażał to też innymi słowami:
„Najważniejsze jest to, aby Pan znajdował nas zawsze przygotowanych do ostatniej walki, która może nastąpić w każdej chwili”.

Sam również nie szczędził wysiłku w tych zmaganiach. Wydaje mi się, że jego wrażliwość sumienia i podeptanie własnego ja, aby móc w pełni przyjmować wolę Bożą, zawiera się w tym, co stwierdził w 1971 roku: **Świętość jest nieustanną walką z własnymi wadami. Jest**

wypełnianiem obowiązku w każdej chwili, bez szukania wymówek. Jest służbą na rzecz innych bez oczekiwania jakiejkolwiek rekompensaty. Świętość jest szukaniem obecności Boga – niezmiennym obcowaniem z Nim – przez modlitwę i pracę, które się stapiają ze sobą w nieustannym dialogu z Panem. Świętość jest gorliwą troską o dusze, która prowadzi do zapomnienia o samym sobie. Jest zawsze pozytywną odpowiedzią w każdym momencie naszego osobistego spotkania z Bogiem.

- Może Ksiądz Biskup pomóc czytelnikom opisując, choćby pokrótce, niektóre aspekty walki prowadzącej przez Założyciela w celu doskonalenia własnego charakteru.

Od młodości posiadał wielkie ludzkie przymioty. Co do wad, to musiał

bardzo uważać na gwałtowność i spontaniczność charakteru i na dużą wybuchowość, której zazwyczaj doświadczał, kiedy uważał, że coś zostało zrobione źle lub nie tak, jak należało.

W każdym razie, te cechy charakteru, które mogły stać się poważnymi wadami, posłużyły mu jako punkt oparcia do rozwijania osobowości i stały się fundamentem do kształtowania silnej woli, której później tak bardzo potrzebował, aby zmierzyć się z tym, co przygotował dla niego Pan Bóg. Jego niecierpliwość przemieniła się w świętą odwagę, a impulsywny temperament w wymaganie od samego siebie i w zrozumienie wobec innych. Wielokrotnie zwierzał się nam z tego, co nosił w głębi swej duszy: **Proszę, abyście mi wybaczyli przykrości, jakich mogłem być powodem dla każdego z was. Zapewniam was, i jest to moja**

niezmienna intencja, że nie chcę nikogo umyślnie urazić moim sposobem bycia. Bez względu na wszystko, nalegam, wybaczcie mi, jeśli kogokolwiek uraziłem moim sposobem bycia czy zachowaniem.

Zmagał się, aby przemienić swoje naturalne skłonności w pozytywne cechy: moc i energię; szybkość w podejmowaniu decyzji; przenikliwość umysłu; zdolność zdawania sobie sprawy z tego, co dzieje się wokół; czy umiejętność logicznego myślenia w rozwiązywaniu trudności. Nie dawał się ponieść własnemu ja, opanował swoje *primo primi* (reakcje natychmiastowe), i dokładał wysiłków, aby przez szczerość w mówieniu i prostotę w działaniu służyć Bogu i duszom.

Obserwując jego życie, ośmielam się zapewnić, że pokazuje zwycięstwo jego woli i rozumu – złożonych w

Bogu – nad jego charakterem. To zwycięstwo jest owocem nieustannego czuwania nad sobą, chociaż nie przestawał nas błagać, abyśmy mu w tym pomagali.

Widziałem, jak zmagał się z tymi subtelnymi nitkami, które - jeśli się ich nie zerwie natychmiast – zamieniają się w więzy oddalające od Boga. Umiał osiągnąć pogodną równowagę, a nadzwyczajną żywotność swojego temperamentu zawsze miarkował rozumem i męstwem.

- Natomiast wciąż jest zdumiewające, że ksiądz Escrivá de Balaguer nigdy nie przeżywał wątpliwości co do wiary.

Nigdy nie zwątpił ani w Boga, ani w prawdę o Nim. Stąd czerpał siły, by postępować w praktykowaniu wiary zawsze z coraz większym przekonaniem, nawet jeśli jego ciało było umęczone lub gdy czuł się

wyczerpany pracą: **Bóg** – powtarzał, mówiąc obrazowo – **nigdy nie może się mylić.**

Często mi mówił, że głęboko wierzy w Tróję Świętą i we wszystkie prawdy objawione przez Boga. Jego wdzięczność okazywana Bogu była powszechnie znana, a realizowała się w wypowiedaniu wielu aktów wiary. W 1972 roku zapewniał nas: **Na ziemi nigdy nie możemy posiadać spokoju tych wygodnickich, którzy dają się ponieść marzeniom o bezpiecznej przyszłości. Nasza przyszłość, każdego z nas, jest nieznana, w tym sensie, że możemy zdradzić naszego Pana, możemy ponieść fiasko co do powołania lub porzucić wiarę. Dlatego codziennie musimy robić postanowienie, aby walczyć do końca.**

- Także nigdy nie zwątpił w swoje Boże powołanie do kapłaństwa i co do Opus Dei.

Często mówił, że ze względu na miłość Boga, **z powołaniem nigdy się nie igra**. Używając słów, które były prawdziwą treścią jego życia – na podobieństwo powracającego refrenu, brzmiącego w jego duszy i nieustannie znajdującego oddźwięk w całej jego postawie – powtarzał: **Nigdy nie zwątpilem w Miłość.**

Jego powołanie kapłańskie nie było w żaden szczególny sposób naznaczone jakąś trudnością, rozczarowaniem czy upadkiem; ani też obciążone jakimiś wydarzeniami społecznymi czy rodzinnymi. Nie doświadczał uczuć lęku wobec życia ani pragnienia odizolowania się z powodu niepowodzenia ekonomicznego swojego ojca, z powodu zmiany miejsca zamieszkania czy z innych racji. Nie odczuwał niepewności w obliczu przyszłości. Także podczas lat spędzonych w seminarium, nie

miewał kryzysów ani momentów
zniechęcenia czy rozpacz.

Na jakieś cztery miesiące przed jego
święceniami kapłańskimi zmarł
nagle jego ojciec, José Escrivá. Było to
27 listopada 1924 roku. Wiele lat
później słyszałem, jak wspominając
te szczególnie trudne chwile, mówił:
**Gdyby śmierć taty miała miejsce
kilka miesięcy wcześniej,
prawdopodobnie uznałbym za
konieczne skorygowanie mojej
drogi. Ale ponieważ miałem już za
sobą święcenia subdiakonatu, nie
wahałem się ani przez moment.**
Tym stwierdzeniem dał do
zrozumienia, że nawet cień
wątpliwości nie przeszedł mu przez
myśl.

*- Mimo to ksiądz Escrivá de Balaguer
cierpiał wewnętrznie wobec własnych
błędów i wyrażał swoje uczucia
używając mocnych słów, takich jak:
nic lub nędza czy słabość...*

Kiedy dostrzegał swoje błędy,
reagował skruchą serca i
jednocześnie jeszcze bardziej opierał
się na łasce. Miał zwyczaj mówić: **Ja
jestem niczym, niczego nie mam,
nic nie mogę, nic nie znaczę, nic!
nic! Ale z Nim mogę wszystko, tak
jak mówił Apostoł: *Omnia possum
in eo qui me confortat*** („Wszystko
mogę w tym, który mnie umacnia”:
Flp 4, 13). Sądzę, że wiele dusz
nauczył, jak przezwyciężać
kompleksy, smutek, lęki, chęć
ucieczki w duchowej walce, przez to
że pokazywał, że Pan każdego
powołał do życia z jego słabościami i
takiego właśnie wzywa do
uświęcania się; a zatem, z Nim
można wszystko.

Pragnąc być zawsze uległym
narzędziem, w 1962 roku mówił nam
tak: **Pozwólmy, aby Pan Bóg działał,
ufając Mu pomimo naszych
słabości i osobistych wad. Nic na
tym świecie nie jest ważne ani**

konieczne, nawet sława czy osobista godność. Już wiele lat temu zwróciłem się do Pana, aby Mu powiedzieć: Jeśli Ty nie pragniesz mojego honoru, dlaczego ja miałbym go pragnąć? I tak z całą pewnością mogę stwierdzić, że Dzieło jest Jego: ja nie uczyniłem nic, nic ponadto, że przeszkadzałem, dlatego z całej duszy prosiłem Pana o wybaczenie, ale też z pełnym spokojem, ponieważ to On troszczy się o swoje Dzieło. Każdego dnia coraz bardziej dostrzegałem konieczność, aby wobec Boga stawać się niczym, ponieważ tak właśnie się czułem: niczym.

To była zasada, którą stosowałem wobec samego siebie. W marcu 1970 roku wyraził to w bardzo dosadnych słowach: Nasze osobiste siły można nazwać tylko w jeden sposób, określić jednym słowem: słabość. Takie jest moje życiowe

doświadczenie. Jesteśmy mocni tylko wtedy, gdy głęboko zdajemy sobie sprawę ze swojej słabości. Gdybyśmy uznali, że jesteśmy mocni sami z siebie, natychmiast zarylibyśmy nosem w najbardziej śmierdzące gnojowisko.

To przekonanie o własnej nicości, o swojej mizernej wartości jako narzędzia, nie powodowało, że zwalniał się z obowiązków. Nigdy nie dopuścił, aby osobiste ułomności stały się dla niego przeszkodą czy wymówką dla spuszczenia z tonu czy obniżenia intensywności modlitwy. Dlatego 6 marca 1972 roku stwierdził z całą mocą: ***Non est opus valentibus medicus, sed male habentibus!***(„Nie potrzebują lekarza zdrowi, lecz ci, którzy się źle mają”: Mt 9, 12). **Moją stałą modlitwą podczas całego dnia były słowa: Panie, oto ja, jestem nieuleczalnie chorym, który potrzebuje Ciebie!**

- Ostatecznie, to przekonanie o własnej słabości zobowiązywało do stałej walki, której nie da się pogodzić z rutyną czy przyzwyczajeniami.

Bardzo głęboko pozostała mi w pamięci prośba, z jaką zwrócił się do mnie w 1950 roku, kiedy miałem zaledwie dwadzieścia lat. Z całą spontanicznością zakochanego człowieka zwierzył mi się: **Boleję dzisiaj z powodu mojego braku pobożności: pomóż zadośćuczynić!** Ta usilna prośba poruszyła mnie do głębi, ponieważ znałem jego wysiłki, by być bardzo pobożnym. W 1953 roku tymi słowami dodawał nam otuchy: **Nic nie szkodzi, abyśmy zachowywali się, zawsze gdy będzie to konieczne, jak syn marnotrawny: zaczynamy od nowa, ze szczerą skruchą prosimy o wybaczenie i powracajmy. To podoba się naszemu Bogu, bo dobrze zna glinę, z jakiej**

**zostaliśmy ulepieni: dlatego
zawsze powracajmy, i powracajmy
z miłością, ponieważ Bóg na nas
czeka.**

Ta konieczność coraz większej
miłości Boga staje się nieustającą
potrzebą. W 1966 roku, tak jak i
podczas wielu innych okazji,
przekonywał nas: **Spróbujmy
spojrzeć na nasze osobiste życie z
nadprzyrodzonego punktu
widzenia: jeśli poszukujemy
samiych siebie, jeśli
przyzwyczajamy się nie
przywiązywać wagi do tego
spotkania z Miłością, to znaczy, że
podążamy za tymi
przyzwyczajeniami, że nasza
miłość zaczyna chylić się ku
upadkowi, ta miłość, która jest
treścią naszego życia i czyni nas
naprawdę skutecznymi. A rankiem
14 lutego 1970 roku zwrócił się do
mnie: **Ten dzień rozpocząłem
postanowieniem, aby dobrze się****

sprawować; jeszcze bardziej przyłgnąć do Boga; starać się nie ujmować chwały Bogu. A wszystko to patrząc na moją nędzę, która jest tak wielka! Był zdecydowany szukać Boga bez wytchnienia.

- Chciałbym w tym miejscu wprowadzić jeszcze inny aspekt, który jakby w sposób oczywisty wypływa z tego: a mianowicie problem znużenia tą nieustanną walką. Tylko jeden raz widziałem księdza Escrivę de Balaguera tak wyczerpanego, że nie miał nawet siły wydobyć z siebie słowa. Po powrocie z podróży do Ameryki w 1975 roku, przebywał wówczas w Colegio Mayor Montalbán w Madrycie.

Paradoksalnie, ten właśnie widok okazał się bardzo budujący. Pozwolił mi dostrzec to, o czym mówiłem wyżej na temat uśmiechu Założyciela Opus Dei, który zawsze się widziało, a który ukrywał przed oczami innych tak wiele cierpienia i trudności.

Założyciel wielokrotnie stwierdzał, że ojciec, matka żyją dla swoich dzieci, także wtedy, gdy pod koniec dnia są już bardzo zmęczeni.

Porównanie to odnosił do swojego życia, pomagało mu ono przezwyciężyć zmęczenie, nie pozwalając mi ani na moment ulec wygodnictwu. 5 marca 1972 roku tak nas pouczał: **Chciałbym, abyście byli wrażliwi niczym żywa rana, abyście tę ofiarę Miłości, którą Chrystus przyjął na siebie za nas, odczuwali w waszym życiu. W taki właśnie sposób nasza gorliwość w zdobywaniu dusz i pragnienie poświęcania się nie podda się zmęczeniu w walce, nawet gdybyśmy mieli wiele powodów do zmęczenia.**

W 1968 roku, wzruszony i pełen ufności w Panu, wspominał: **Przez te czterdzieści lat zawsze, gdy czułem się wyczerpany, znużony, z ufnością modliłem się: Panie Jezu,**

odpoczywam w Tobie! Matko, Święta Maryjo, odpoczywam w Tobie!. Nawet w obliczu bardzo trudnych sytuacji, po ludzku nie do pokonania, był spokojny i wyciszony: pracował jak zwykle, tak jakby się nic nie wydarzyło, a jednocześnie właśnie tym zachowaniem sprawiał, że wszyscy wokół niego czuli się bezpiecznie.

Nigdy nie widziałem, aby był zniechęcony, wątpił czy o coś się niepokoił. W jego obecności wręcz namacalnie dotykało się tego, co tyle razy nam powtarzał słowami świętej Teresy od Jezusa: „Temu, kto ma Boga, nie brakuje niczego”. Swoją postawę podsumował w prosty sposób podsumował w 1966 roku: **Niepokój i smutek absolutnie przeciwstawiają się samej istocie Boga, który jest szczęśliwością w najwyższym stopniu. Jeżeli jesteście zmęczeni, powiedzcie to Panu; jeśli natrafiacie na**

zdecydowane trudności,
powierzcie je rękom Pana. Ale
podkreślam, nie dopuście do tego,
aby ktokolwiek z waszego
zachowania mógł wywnioskować,
że jarzmo Mistrza nie jest słodkie,
że nie jest jarzmem miłości.

Namawiał nas, abyśmy rozmyślali o
nagrodzie wiecznej, którą Bóg dla
nas przygotował. A gdy coś
okazywało się dla nas zbyt trudne i
stawało się powodem
usprawiedliwień i wykrętów,
zachęcał nas do wielkoduszności
słowami: **Panie! Co chcesz mi dać,
że prosisz o tak wiele!** W tym
samym duchu zwracał się do nas w
1964 roku: **Uwaga na smutek! To
choroba ciała i duszy! Smutek nie
ma usprawiedliwienia dla członka
Opus Dei! Nic go nie
usprawiedliwia! Chcę wam
powiedzieć, że wiele razy
znajdowałem się sam między
niebem i ziemią i musiałem**

uchwycić się tylko modlitwy. Wy – ponieważ Bóg tak chciał – możecie się modlić, a ponadto macie możliwość otwarcia serca w kierownictwie duchowym. Dzieci moje! Usuńcie smutek z waszego życia! A jeśli w ten sposób nie odejdzie, wyrzucicie go przez okno.

Z tym samym zamiarem odsłaniał swoją duszę: **Przypominam wam, moje dzieci, że wszystkie Psalmy kończą się chwałą. I dodawał: Przez wiele lat starałem się z całej siły przylgnąć do Boga, tylko do Niego, cierpiąc, ale pełen nadziei. W ten sposób przeżyłem wiele lat: *et tuus calix uberrimus, quam praeclarus est!* Nie mogłem odrzucić tego kielicha, który mi podał nasz Ojciec Bóg.**

- Umęczenie i praca, cierpienie i radość, ciemności i olśnienia ostatecznie łączą się w głębokiej jedności życia, o której będziemy

mieli okazję mówić, ponieważ jest ona centralnym rysem ducha Opus Dei.

Nie mam najmniejszej wątpliwości, że dzięki swojej modlitwie ksiądz Prałat Escrivá zachowywał spokój i pogodę ducha, zarówno w sensie nadprzyrodzonym, jak i ludzkim. W 1966 roku zwierzył się: **Co do mnie, to zasmuca mnie myśl o tym, że niektórzy rezygnują z walki usprawiedliwiając się zmęczeniem. Rozumiem, że może przyjść zmęczenie – od wielu już lat pracuję na przekór znużeniu - ale wtedy należy o tym powiedzieć, a nie przedwcześnie opuszczać ramiona. Wytrwałość w modlitwie i pracy, nawet jeśli kosztuje, to jest ofiara, której Bóg oczekuje z naszej strony. Jak również spodziewa się, że nie będziemy się smucili ani też wycofywali przygnębieni, kiedy coś się nam nie powiedzie – nie powiedzie się po ludzku, to**

chciałem powiedzieć – bo wobec Pana Boga nigdy nie jest tak, żeby się nie powiodło, jeżeli szukaliśmy Jego chwały. To jest dobry moment, żeby pomyśleć też o tym, że niekiedy Boże plany nie zgadzają się z naszymi. Ale my nie możemy się nigdy z tego powodu smucić. W obliczu przeciwności powinna wzrastać nasza wspaniałomyślność poprzez szczere zrozumienie, że nasze życie zostało nam dane z miłości.

Trudno opisać jego gorące pragnienie, aby każdą czynność przemieniać w modlitwę, nawet te najbardziej zwyczajne obowiązki; posiłki czy spacer. Owocem jego zmagania mogą być te słowa, które wypowiadał z naciskiem: **Módlcie się, zawsze się módlcie, aby wejść w ten dialog dusz kontemplacyjnych, które są przekonane, że Bóg na nas patrzy, słucha nas i kocha.**

**Kontemplujących pośrodku ulicy!
Co do mnie, to nawet po ludzku,
wypełnia mnie radość płynąca ze
świadomości, że nigdy nie jestem
sam. Dlatego mam zwyczaj
powtarzać, że w moim życiu nigdy
się jeszcze nie nudziłem. W każdej
chwili wynajdował mnóstwo
powodów, aby się modlić: za Kościół,
za papieża, za Dzieło, za dusze, za
dzieła apostolskie, za rodziny. I
uciekał się do modlitwy zawsze
pewny, że Bóg nasz Pan przemieni
ten skromny środek w skuteczną
pomoc, potrzebną Kościołowi w
pracy apostolskiej: **Bóg nie oczekuje
pięknych zdań, górnolotnych
modlitw. On pragnie, abyśmy
zawsze byli z Nim, czy jest zimno
czy gorąco, czy jesteśmy zdrowi czy
chorzy, czy mamy na to ochotę czy
nie; nigdy się nami nie zniechęca,
ani nie męczy wysłuchiwaniami
nas, zawsze jest gotowy nas
przyjąć.****

Założyciel zawsze budował nas własnym przykładem, również wtedy, kiedy był bardzo zajęty pracą lub poważnie cierpiący. Pewnego dnia 1969 roku zwierzył się nam, księdzu Álvaro del Portillo i mnie:

Wczoraj wieczorem, gdy już czułem się bardzo zmęczony, postanowiłem się pomodlić. Będąc w kaplicy, zwróciłem się do Pana: oto jestem jak wierny pies u stóp swojego pana; nie mam nawet siły, żeby Ci powiedzieć, że Cię kocham. Ty to widzisz! Kiedyś mówiłem Mu: oto jestem jak wartownik na straży, czuwający, aby dać Ci wszystko, co mam, nawet gdyby miało to być bardzo niewiele.

Chyba w 1954 roku, a może w 1955, dostała się w jego ręce marmurowa figura w kilku fragmentach. Polecił ją złożyć, bez maskowania pęknięć kamienia, pozostawiając ją także bez głowy, tak jak przybyła. Umieścił ją na tarasie Siedziby Centralnej Opus

Dei, aby wszystkim, którzy na nią patrzą, przypominała, że gdyby nawet nasza nędza i słabości były tak bardzo oczywiste, wciąż musimy od nowa podejmować wysiłek poprawy, aby służyć Bogu. Pod tą figurą chciał wyryć napis. Pewnej bezsennej nocy, parafrazując słowa świętego Bernarda, ułożył następujący tekst: *Non est vir fortis / pro Deo laborans / cui / non crescit animus / in ipsa rerum difficultate / etiam si aliquando / corpus dilanietur* („Nie jest silny ten mąż, który trudząc się dla Boga, nie wzrasta duchem w obliczu trudności, choćby nawet poświęcił swe ciało w tym wysiłku”).

- Dzisiaj mamy uniwersalną formułę duchowej komunii, której Josemaría Escrivá nauczył się w Barbastro od starego Pijara. Powiedział, że napełnia ona duszę pokojem i ciszą, nawet w chwilach oschłości i zwątpień. W jaki sposób Założyciel Opus Dei zmagał się z tymi stanami

duszy. Czy mógłby Ksiądz opowiedzieć jakiś przykład.

Zachęcał, aby trwać na modlitwie myślniej i ustnej także wtedy, gdy zmęczenie przybierana sile. 26 listopada powiedział do mnie:

Wczoraj nie byłem w stanie odmówić w skupieniu nawet dwóch Zdrowasiek. Żebyś widział, jak cierpiałem! Ale jak zwykle, nawet wtedy, gdy mnie to kosztuje i nie porafię już tego zrobić, nadal się modlę: Panie, wspomóż mnie! Powiedziałem Mu: – Teraz Ty musisz prowadzić te wielkie sprawy, które powierzyłeś mi, ponieważ jak widzisz, ja nie jestem w stanie zrealizować nawet najmniejszej rzeczy: oddaję się jak zawsze w Twoje ręce.

I nie obawiał się czynić tych wynurzeń przed swoim dziećmi. Nie oczekiwał na współczucie ani się nie usprawiedliwił. Chciał nas tylko

zachęcić do wytrwania, gdy
będziemy przechodzić przez chwile
oschłości. Podobnie w listopadzie
1970 roku zwierzył się członkom
Rady Generalnej Opus Dei: **Oschłość,
moje dzieci! To jest to, co właśnie
przeżywam. Lecz Pan mnie
podtrzymuje, ponieważ ja sam
jestem tylko workiem nieczystości.
Nieustannie szukam zjednoczenia
z Bogiem, a Pan daje mi głęboki
spokój i wielką radość: ale na
modlitwie odczuwam oschłość,
także na tej ustnej. Zdarzają się
dni, kiedy nawet nie potrafię się
zmusić, aby odmówić jedno
Zdrowaś Maryjo: natychmiast
rozpraszam się. Ale nigdy nie
ustaję w zmaganiach: nigdy nie
przestaję się modlić o to, o co
muszę się modlić. Modłę się,
zawsze się modłę: staram się to
robić wkładając w to całą moją
miłość – wykorzystując
okoliczności, w jakich się znajduję.
Od razu robię też postanowienie,**

że tego jeszcze wieczoru dobrze odmówię różaniec. Dlaczego wam to mówię? Ponieważ mam potrzebę ukazania wam tego. Nigdy nie mówię wam niczego, co mogłoby wam zaszkodzić. Wiem, że to, co wam przed chwilą wyjawiłem na temat mojej sytuacji, pomoże wam; ponieważ także i wy, czy niektórzy z was, być może kiedyś odczujecie tę samą oschłość, przez którą ja teraz przechodzę. I jest to czas, aby nadal się modlić, podejmować modlitwę myślną i ustną, tak jak wtedy, kiedy modlitwa przychodziła nam z łatwością.

Bardzo mu zależało, aby zwrócić naszą uwagę na to, że nawet w najbardziej zwyczajnych wydarzeniach, mogą pojawić się kłopoty ze względu na miłość Boga, które wydadzą się nam nie do pokonania z powodu naszej marnej natury. W sierpniu 1972 roku będąc na północy Włoch, zwierzył się nam

serdecznie, księdzu Álvaro del Portillo i mnie: **Czy w życiu zawsze pracujemy z ochotą? Nie!** Wielokrotnie mówiłem wam, że już czterdzieści lat, i to z okładem, pracuję na przekór sobie. I dodał: Nie możemy zapominać, że podczas naszego ziemskiego życia, będzie nam towarzyszyć pycha, próżność, zmysłowość. Dlatego jeśli ktoś wymawia się argumentując: dostrzegam w sobie taką czy inną wadę... odpowiedzcie mu: a zatem walcz i dziękuj Bogu za to, że żyjesz i możesz Mu ofiarować swoją duszę i ciało. To jest pociecha dla chrześcijanina: Bóg nie opuści nas, tak samo jak my nie opuścilibyśmy kogoś, kto chce nam wspierać i szczerze służyć.

Właśnie dlatego za akty strzeliste służyły mu słowa wypowiedziane podczas liturgii: *lux in Cruce, requies in Cruce, gaudium in Cruce!* („światło

w Krzyżu, odpoczynek w Krzyżu, radość w Krzyżu”). I niezmiennie uważał Krzyż za najbardziej przejrzysty testament miłości Boga, który traktuje nas tak, jak potraktował własnego Syna.

Wielokrotnie w różnych sytuacjach przestrzegał nas: **Nie sądźcie, że nadejdzie taki moment, iż wszystko stanie się proste: przyjdzie taki czas – mówię wam to z własnego doświadczenia – że będziecie musieli prowadzić walkę, nawet z całych sił, ponieważ diabeł pojawia się w sposób najbardziej podstępny.**

Widziałem, jak co tydzień przystępował do sakramentu pokuty z autentycznym żalem i miłością. Klękał przed swoim spowiednikiem, księdzem Álvaro del Portillo, pełen skruchy. Czasami mnie uprzedzał: **Nie ma potrzeby, abyś odchodził.** Przez delikatność zawsze

odchodziłem, ale jednocześnie dostrzegałem tę jego przejrzystą prostotę, przyzwolenie na ufne otwieranie przed nami swojej duszy, ponieważ tego oczekiwaliśmy. Jego życie było całkowicie oddane Bogu, a mimo to dostrzegał konieczność kochania jeszcze bardziej i zwracania się do Boga o wybaczenie. 7 października 1973 roku stwierdził przy nas, że część dziękczynną Mszy świętej – pełen skruchy wobec dobroci Bożej – zakończył z takim oto przekonaniem: **Jestem nędznym źródłem ubóstwa i miłości.**

2. Pieszczoty Boga

- Właśnie wspominaliśmy o jego zmęczeniu spowodowanym czasami brakiem zdrowia. Ksiądz Prałat Escrivá znosił swoje dolegliwości nie uchylając się od służby dla innych. Odnoszę wrażenie, iż to, w jaki sposób przyjmował własne choroby, sprawiło, że jego walka o świętość,

być może nabrała bardziej intensywnych rysów, niż te, o których mówiliśmy w poprzednim rozdziale. Nie zamierzam streszczać historii jego chorób, ale chciałbym przypomnieć niektóre z dolegliwości, na jakie cierpiał po założeniu Opus Dei. Myślę, że nie ma potrzeby przypominać tej najcięższej infekcji, na którą zapadł mając zaledwie dwa lata: została opisana z detalami w innych opracowaniach i każdego dnia jest coraz powszechniej znana poprzez sanktuarium Torreciudad.

Przed rokiem 1950 nie byłem obecny przy tych wydarzeniach – później tak. Wiem, że od czasu do czasu miewał ostre ataki reumatyzmu, które go prawie unieruchamiały. Jeden z nich, najbardziej bolesny miał miejsce w czasie, gdy był uciekinierem w klinice doktora Suilsa, podczas wojny domowej: sparaliżowało mu rękę, którą miał

przywartą do piersi, i przez wiele dni musiał pozostać w łóżku.

Komentował to z humorem – co ilustruje jego stosunek do choroby – że przypomina **kawalera z ręką na piersi** ze słynnego obrazu El Greca; i ofiarowywał się pozostać z tym unieruchomieniem resztę życia lub tyle czasu, ile Pan Bóg postanowi.

Także podczas wojny, będąc już w Burgos, cierpiał z powodu nieznanej choroby, która objawiała się wymiotowaniem krwią. Ponieważ przypominało to objawy gruźlicy, pogodził się z myślą, że być może nie będzie mógł pracować z młodzieżą. Jednak ani na moment nie utracił radości i spokoju. W modlitwie stawał wobec Boga, aby **po synowsku zaprotestować**, ponieważ obarczył go Działem – co koniecznie wiązało się z obcowaniem z młodzieżą – a jednocześnie dopuścił tę chorobę, która stała się barierą nie

do przewyciężenia. Bez względu na wszystko, ofiarował Bogu cel swojego życia: aby Opus Dei zrealizowało się. Chodził od lekarza do lekarza nie mogąc dowiedzieć się, o co mu dolega, aż w końcu, opatrnościowo, wymioty ustąpiły.

- Ksiądz Biskup natomiast był świadkiem ciężkiej cukrzycy, na którą chorował ksiądz Prałat Escrivá.

Cukrzyca została u niego zdiagnozowana w 1944 roku. Po zewnętrznych objawach, musiał chorować już od jakiegoś czasu: przychodził do domu bardzo zmęczony, z ogromnym bólem głowy i atakami gorączki, które złożył na karb wyczerpującej pracy. Ale nawet wówczas, gdy ujawniono cukrzycę, nie zmienił ani rytmu dnia, ani nie ograniczył czasu poświęcanego pracy apostolskiej, z wyjątkami, gdy musiał pozostać w łóżku.

Przez długie lata odczuwał wszystkie konsekwencje tej choroby, która była bardzo poważna. Rozmawiałem w Rzymie na ten temat z profesorem Faellim. Powiedział, że w swojej długoletniej praktyce diabetologa nie miał tak poważnie chorego pacjenta. Ksiądz Escrivá codziennie musiał robić trzy zastrzyki z insuliny.

Nie zgodził się nawet, abyśmy wystarali się dla niego o dyspensę od postu eucharystycznego, nawet gdy – ze względu na kapłańskie obowiązki – odprawiał Mszę w późnych godzinach porannych: w wyniku niedoboru insuliny odczuwał czasami ataki silnego głodu. Natomiast on, ze swej strony, poruszony czystą miłością wobec niektórych swoich dzieci, cierpiących na choroby żołądka czy wątroby, czynił wszelkie starania, aby załatwić im taką dyspensę, po to, by mogli spokojnie bez przeszkód pracować.

Często miewał bardzo wysoką gorączkę, która go wyczerpywała. Dzielnie pokonywał swoje zmęczenie. Zawsze trzymał się ustalonego planu zajęć, nie pozwalając sobie na żadne odstępstwa. Przez dłuższy czas był dotknięty diplopią, czyli podwójnym widzeniem. Innym razem czasową utratą wzroku. Nikt z nas, z wyjątkiem lekarza i księdza Álvaro del Portillo, nie spostrzegł tego, bowiem zachowywał się z tak nadprzyrodzoną naturalnością, że jego spojrzenie przynosiło nam radość i pokój, którego on sam w sobie doświadczał.

Cierpiał na nienasycone pragnienie, z czego nikt nie zdawał sobie sprawy. Kontrolował, w duchu prawdziwego umartwienia, konieczną ilość płynu. Między innymi opóźniał, jak tylko się dało, każdy łyk wody, chociaż język wysychał mu na wiór. Wiele razy

jedynie odświeżał usta wodą, nie przełykają jej.

Przyznawał się do silnych i nieustannych bólów głowy, które łagodziły jedynie specjalne środki znieczulające. Nie prosił o nie, ale lekarz zalecał mu je przyjmować, gdy tylko poczuje, że ból się wzmacnia.

Stan zdrowia fizycznego księdza Prałata Escrivy ilustruje to, co wydarzyło się w 1953 lub 1954 roku w związku z drobną interwencją chirurgiczną, której musiał się poddać. W szpitalu musiano mu zrobić zastrzyk wspomagający krzepnięcie krwi. Osoba, która miała to zrobić, widząc jego biedne, wyniszczone ciało, spytała go: „Ale gdzie mogę Księdza ukłuć?”. Odpowiedział bez zmieszania: **Gdzie pani uważa.**

W czasie tych lat, kiedy tak bardzo podupadał na zdrowiu, następowały kolejno różne prace związane z

ważnymi etapami zatwierdzania Dzieła. Ponadto każdego dnia poświęcał się z całych sił i z całej duszy w intencji rozprzestrzeniania się apostołstwa Opus Dei i w trosce o rozwój duchowy i naukę członków Dzieła, którzy przyjechali do Międzynarodowego Centrum w Rzymie, aby uzyskać formację. Pomimo suchości ust i trudności w mówieniu nie zaprzestawał wygłaszać medytacji, prowadzić rozmów czy brać udziału w spotkaniach rodzinnych, które w ośrodkach Dzieła odbywają się codziennie po obiedzie i kolacji. Nikt nawet nie domyślał się, że był tak ciężko chory, że znajdował się w bezpośrednim niebezpieczeństwie śmierci.

Tak było do 27 kwietnia 1957 roku, kiedy to w następstwie kolejnego zastrzyku nowego typu insuliny, przepisanej przez lekarza, przeżył szok anafilaktyczny, który - dzięki

woli Bożej – nie skończył się dla niego śmiertelnie. Zniknęła również cukrzyca.

Od tego czasu ustały silne bóle głowy z wcześniejszych lat, ale zaczął cierpieć z powodu innego typu dolegliwości, dotyczących również głowy. Znosił je bardzo naturalnie, opóźniając przyjmowanie środków znieczulających, które doradzaliśmy mu, aby zmniejszyć jego cierpienia. Nikt nie wiedział, że cierpiał na bardzo silne migreny, ponieważ był pełen aktywności, apostołskiego zapału i radości.

- Nim dokończymy tę opowieść, czy mógłby Ksiądz przytoczyć jakiś przykład dobrego humoru księdza Prałata Escrivy, z jakim traktował swoje choroby.

Gdy cierpiał na cukrzycę, otwierały mu się rany, przysparzając dodatkowych cierpień. Mówił o tym: **Otrzymałem nową łaskę. Gdybym**

to wszystko potrafił wykorzystać dla Pana!

Mniej więcej w latach sześćdziesiątych pojawiła mu się na powiece torbiel. Specjalista poradził mu ją wyciąć. W dniu operacji osoba ta, która miała wielkie doświadczenia chirurgiczne, wyraziła pewne zaniepokojenie. W trakcie przygotowań oznajmiła: „Bardzo mi przykro, ale jest możliwe, że z powodu tego zabiegu, utraci Ksiądz Prałat kilka rzęs”. **Proszę się nie martwić – odpowiedział– nie biorę udziału w żadnym konkursie piękności.** „Non si sa mai”(nigdy nic nie wiadomo) – nerwowo wyszeptał ów człowiek.

Także począwszy od lat 1969-1970, w następstwie cukrzycy pojawił się w jego organizmie poważny niedobór wapnia: często tracił siły i nie potrafił utrzymać się na nogach i upadał na podłogę. Kiedy mu pomagaliśmy

wstać – bowiem sam nie był w stanie sobie poradzić przemieścić się na inne miejsce, aby mu zrobić zastrzyk z wapnia, powtarzał: **Widzicie już, jakiego macie ojca, który sam nawet na nogach nie potrafi się utrzymać.**

W 1974 roku, parę godzin po przybyciu do Quito (2800 m n.p.m.) dostał silnego ataku choroby górskiej. Nie utracił jednak spokoju, chociaż ewidentnie uzależniały go te fizyczne ograniczenia: zaledwie mógł mówić, cierpiał zawroty głowy i z trudem oddychał, nie był w stanie uczynić bez pomocy innej osoby dwóch kroków ani zjeść cokolwiek. Pozwalał się przemieszczać z miejsca na miejsce jak małe dziecko, ponieważ został pozbawiony sił fizycznych. Gdy opowiadał o tych wydarzeniach, podkreślał, że zawsze pragnął mówić o życiu w dzieciństwie. **Teraz – dodawał - Pan pozwolił, by dotknął wręcz**

fizycznie tej prawdy, jestem jak małe dziecko, ponieważ nawet nie mogę chodzić, zaledwie mogę mówić, pomagają mi w najprostszych rzeczach... ale błogosławię Pana, że traktuje mnie w ten sposób, ponieważ uświadamia mi to, że we wszystkim jestem jak dziecko, które musi się uczyć tego co najbardziej podstawowe.

- Jak wiadomo, cukrzycy na ogół cierpią także na schorzenia dziąseł.

Rzeczywiście, utracił całe uzębienie, z wyjątkiem dwóch korzeni, kła i jednego zęba trzonowego w dolnej szczęce po prawej stronie. Pewnego dnia, gdy wstał z rana, stwierdził, że nie jest w stanie gryźć, ponieważ jego zęby nie przystawały do siebie. Dentysta stwierdził spore przemieszczenie, niektóre były prawie luzem. Po dokładnym przyjrzeniu się, w takich oto słowach

określił tę nietypową sytuację:
„Usunę te zęby «alla cinese»” (po chińsku). Bez znieczulenia i bez użycia szczypców, chwycił je bezpośrednio palcami i wyciągał jeden po drugim.

Ksiądz Escrivá nie przeżywał z tego powodu żadnych kompleksów ani najmniejszej przykrości. Ofiarował to Panu i nadal pracował i mówił tak, jakby się nic nie wydarzyło, jedynie starając się o to, aby go rozumiano. Od razu przyzwyczaił się do przygotowanych mu protez, mimo że powodowały bolesne rany dziąseł, które zazwyczaj długo się goiły: każda rana zamieniała się w ropiejące ognisko.

Nigdy na nic się nie skarżył się, gdy dentysta wykonywał swoją pracę. Odwrotnie dentysta, dr Hruska, który z ubolewaniem narzekał: „Jeżeli coś się dzieje, jeżeli Ksiądz poczuje ból,

proszę mi powiedzieć, bardzo mi to ułatwi pracę”.

Założyciel Opus Dei wszystko ofiarował Bogu, odpowiadając mu po włosku: **Faccia, faccia** (rób, rób). W trakcie zabiegu dr Hruska przerwał pracę, aby wyrazić swoje zaniepokojenie: „W ten sposób przysparzam tylko Księdzu więcej cierpienia, ponieważ nie zdaję sobie sprawy ze skaleczeń, jakie przy okazji robię. Niech mi Ksiądz mówi, kiedy zaczyna coś boleć, wtedy postaram się przerwać”. Opowiedział dentyście z humorem, że może kontynuować, bo wcale się nad nim nie znęca. Ale z tego, co wyjaśniał nam dentysta, ból musiał być bardzo silny. Gdy po zakończeniu zabiegu wrócił do domu, mogłem stwierdzić, że z powodu silnego krwawienia dziąseł koszulę miał dokumentnie poplamioną krwią.

W związku z tym miał również pewne trudności z jedzeniem, chociaż staraliśmy się, aby przygotowywano mu delikatne potrawy. Nigdy nie uczynił żadnej uwagi, ani nie okazał najmniejszego niezadowolenia, pomimo że nalegaliśmy, aby nam powiedział, czy może zjeść daną potrawę, czy nie.

Byłem świadkiem reakcji pracowników szpitala, także syna doktora Hruski – też dentysty jak ojciec – pielęgniarek, personelu administracyjnego i innych lekarzy; wszyscy chcieli porozmawiać z Założycielem Opus Dei i uzyskać jakieś rady. Jak mi wyjaśniono, już po jego śmierci, jego obecność w tym szpitalu stworzyła atmosferę radości, spokoju i zrozumienia. Pod tym czy innym pretekstem, przychodzono do niego, gdy tylko było to możliwe - aby porozmawiać, prosić o wskazówki co do osobistego życia i swojej pracy. Wszyscy zachowali w serdecznej

pamięci wiele rad, jakie otrzymali od Założyciela Opus Dei. Jeśli chodzi o jego osobę, to pozwalał, aby zajmowano się nim tylko wtedy, gdy było to konieczne: na przykład nigdy nie zgadzał się, aby mu pomagano zakładać pelerynę czy czyścić ubranie.

Czasami musiał naprawiać protezy, które łamały się z powodu kła uciskającego powierzchnię protezy. Przy pobieraniu miary, odczuwał mdłości. Lekarz powiedział mu, żeby się nie powstrzymywał, ponieważ są przyzwyczajeni do podobnych reakcji pacjentów i nie wywołuje to w nich żadnego wstrętu. Ale zawsze się powstrzymywał, wkładając w to całą swoją energię, polecając się Panu, swojemu Aniołowi Stróżowi i aniołom tych osób, które się nim zajmowały. Wielokrotnie oznajmiał: **Wystarczająco dość ich zanudziłem, aby jeszcze im**

**dokładać z powodu kaprysów
mojej nędznej natury.**

Także w 1973 roku towarzyszyłem mu podczas wizyty u dentysty z Terrassa, ponieważ rozbiła mu się proteza. Po wzięciu odcisku dziąseł, aby zrobić nową protezę, musiał poczekać aż zastygnie masa w odpowiednim przyrządzie. Po wyjęciu jej z ust, stwierdzono, że masa rozlała się mu aż do gardła, powodując trudności w oddychaniu i odruchy wymiotne. Doktor i pielęgniarka byli zdumieni jego cierpliwością. Mówili mi, że nie da się tego wyjaśnić inaczej, jak tylko jego nadzwyczajną zdolnością przewyciężania bólu.

Z powodu medycznych zaleceń i diety wskazanej przez lekarzy, stracił na wadze w sposób rzucający się w oczy. Schudnięcie to odbiło się także na układzie dziąseł i protezy spowodowały powstanie dosyć

dużych ran. Pamiętam, że rano 26 czerwca 1975 roku, ostatniego dnia życia, ponieważ z powodu słabego wzroku nie mógł dojrzeć, w którym miejscu usytuowały się rany, poprosił mnie, bym mu nałożył maść na dziąsła, aby mógł rozmawiać, gdy będzie w Castelgandolfo.

Zauważyłem, że ropień na dziąśle był bardzo duży. Więcej już nie zajmował się tą dolegliwością, o której lekarzy mówili, że zazwyczaj jest bardzo bolesna. Nikt tego nie zauważył.

- Cukrzyca powoduje także choroby wzroku. Przed chwilą wspominał Ksiądz Biskup o diaplopii.

W latach 1970 i 1971 zaczęły mu się tworzyć rozległe katarakty. Prawie z dnia na dzień bardzo pogorszył mu się wzrok i wiele wysiłku kosztowało go czytanie. Nie zniechęcił się jednak ani nie się martwił tą nową dolegliwością, którą dopuścił Pan.

Przyjął Bożą Opatrzność i poddał się temu, co zalecali mu lekarze. Ponieważ poradzili mu, aby mniej czytał, prosił nas, abyśmy mu pomagali w czytaniu duchowej lektury i Świętej Ewangelii. Jednakże nie zwolnił się z modlitwy brewiarzowej i – co jest zrozumiałe – nadal odprawiał Mszę świętą. Później katarakty pogłębiły się i były długie momenty w trakcie dnia, kiedy czarny punkt zachodził na źrenicę i zupełnie uniemożliwiał mu widzenie. Dlatego musiał jeszcze bardziej ograniczyć czas poświęcony na czytanie. Ograniczenia te znosił z takim oderwaniem, że - poza księdzem Álvaro del Portillo i mnie, którzy wiedzieliśmy o jego dolegliwości – nikt nie zdawał sobie z tego sprawy, nawet członkowie centralnych władz Opus Dei.

Aby mógł odprawiać Msze święte, znaleźliśmy mszał z dużymi literami, poza tym zawsze, gdy było to

możliwe, odprawiał Msze wotywnie o Najświętszej Maryi Pannie, o Aniołach Stróżach albo za zmarłych, które znał na pamięć. Zbliżał się wówczas dzień święta Bożego Ciała i zasugerowałem mu, aby przeczytał teksty z mszy zwykłej o Najświętszej Maryi. Przerwał mi z całą serdecznością, lecz zdecydowanie: **Przygotuj Mszę z Bożego Ciała i pomóż mi, bym był bardziej pobożny!**

Pomimo choroby oczu nadal głosił nauki katechetyczne, które w tym czasie zaplanowano w krajach Ameryki, i nie przeszkodziło mu to brać udział w spotkaniach apostolskich, przewidzianych w każdym miejscu jego pobytu. Nikt spośród owych tysięcy osób nie spostrzegł choćby najmniejszego objawu tego niedomagania jego wzroku. Jego prawdziwie nadprzyrodzona cnota męstwa sprawiła, że potrafił przewyciężyć

te trudności. I dzięki mocy, której udzielił mu Duch Święty, prowadził rozmowy z takim zaangażowaniem, jak ktoś, kto głęboko żyje problemami swoich rozmówców. Wszyscy byli mu niezwykle wdzięczni za serdeczność i poświęcenie.

Oczywiście, zawsze poddawał się badaniom szpitalnym, na które był kierowany, nie stwarzając w tej kwestii najmniejszych trudności. Gdy po raz kolejny otrzymywał od lekarza zalecenie, aby bardziej o siebie dbał, a my delikatnie dawaliśmy mu do zrozumienia, że martwimy się z powodu jego niedomagania, zawsze kwitował to mówiąc, iż jest to i tak mało na to wiele, czym sobie zasłużył przez swoje zaniedbania wobec Boga.

- Także w tym czasie na tle przebytej cukrzycy zaczęła się pojawiać u niego niewydolność nerek,

prowadząca w konsekwencji do powikłań kardiologicznych i problemów z oddychaniem.

Kiedy wystąpiła u niego ta niewydolność nerek, lekarze zalecili mu, aby pił dużo wody, przynajmniej dwa litry dziennie. Rozbawiony przypomniawszy sobie wówczas, że gdy był cukrzykiem i wysychało mu w ustach, choroba ta wymusiła na nim ograniczanie ilości przyjmowanych płynów, więc często odmawiał sobie nawet wody lub opóźniał jej wypicie: było to wielkie wyrzeczenie z jego strony. Teraz wyrzeczeniem nie było wypicie jednej szklanki wody mniej, ale wypijanie jej w ilości wskazanej przez lekarzy. Czynił to w duchu pokuty, widząc w tym wolę Bożą, chociaż kosztowało go to wiele wysiłku. Mówił nam, księdzu Álvaro del Portillo i mnie, że ofiarowuje to w intencji potrzeb Kościoła, dusz i Opus Dei.

W tamtym czasie dla poprawienia funkcjonowania organizmu zalecono mu także spacery podczas dnia.

Chociaż oznaczało to dla niego zadyszkę z powodu trudności związanych z oddychaniem i zmęczenie, przeżywał te chwile jako kolejną pieszczotę Pana, oddając Mu – jak mówił żartem – **ostatnie kości, które mi zostały z mojego biednego ciała**. W chorobie jego rygorystyczna dieta łączyła się z absolutnym zakazem stosowania soli i zredukowaniem tłuszczów, cukru i mąki, mącznych potraw i warzyw strączkowych.

Jak się później dowiedziałem, bowiem lekarze nie poinformowali nas o tym, istniało wielkie ryzyko, gdyby stwierdzono u niego zapalenie oskrzeli, ponieważ mogłoby to wywołać powikłania grożące niewydolnością serca i nerek. I tak rzeczywiście się stało właśnie w trakcie jego podróży do Ameryki w

1974 roku. Będąc w Chile bardzo ciężko się rozchorował. Lekarz specjalista po obejrzeniu wyników badań, lecz nie mając bezpośredniego kontaktu z pacjentem, stwierdził, że wymaga on ciągłej dializy.

Lekarze jak jeden mąż stwierdzali, że tylko niezwykła wewnętrzna siła pozwala mu przy tym stanie zdrowia, które podczas ostatnich lat wciąż mu niedomagało, normalnie funkcjonować. Jako przykład niech posłuży wypowiedź znanego lekarza, który zajmował się nim w Limie. Leczył go z powodu zapalenia oskrzeli i bardzo się zdumiał tym, że jak tylko doszedł do siebie, znowu oddał się głoszeniu katechez, nie rezygnując z żadnego przewidzianego spotkania. Tak został tym poruszony, że żegnając się z nami, powiedział do księdza Álvaro del Portillo: „Jesteśmy wdzięczni Bogu za to błogosławieństwo, które

otrzymaliśmy od Nieba przez obecność i poświęcenie Ojca, ale proszę was, księży, aby w tych warunkach nie przyjeżdżał po raz drugi do Peru, ponieważ jego aktualny stan zdrowia jest bardzo ciężki”.

- Z powodu niewydolności nerek i serca, co począwszy od 1969 roku trwało przez dłuższy czas, cierpiał również na wylewy do stawowe, powodujące bolesne opuchnięcie stawów w łokciach i w kolanach.

Nawet zwykłe tarcie ubrania wywoływało silny ból, który uniemożliwiał mu albo utrudniał chodzenie lub poruszanie ramionami. W tym czasie ogromnego wyczerpania nadal przestrzegał co do godziny swojego rozkładu zajęć i wyznaczonego trybu pracy. Byliśmy zaniepokojeni silnymi objawami wylewów do stawowych, które sprawiały, że nie mógł spać, i w

niesamowity sposób deformowały kończyny. Najbardziej wzruszało mnie to, gdy widziałem, że pomimo tego cierpienia, podczas sprawowania Przenajświętszej Ofiary, kiedy przebywał z Panem, wszystko robił największą delikatnością i miłością, jak zawsze gdy celebrował Mszę świętą.

Pamiętam, jak 14 grudnia 1970 roku udręczony przez tę fizyczną dolegliwość, zwierzał mi się: **Jestem bardzo zmęczony i trzymam się na nogach tylko dzięki aktom strzelistym. Moja świadomość obecności Boga nieustannie skłania mnie do powtarzania: Panie, zdaję się na Ciebie jak syn, ufam Tobie, wierzę Tobie. I jestem pewien, że wszystko to przeminie, bo On nie może przeminąć, i tylko to jest dla mnie ważne. Mój synu, ileż razy w moim życiu czułem się nie tak jak teraz, kiedy jestem otoczony tak wieloma sercami na**

**całym świecie, które – dzięki
Bożemu miłosierdziu - nie widzą
moich wad i obdarzają mnie taką
samą miłością jak członkowie
Dzieła. Tak wiele razy, mówiłem ci
to, czułem się samotny, bez miejsca
na ziemi, gdzie mógłbym
przycupnąć; bez przysłowiowej
brzytwy tonącego, jak mówi
hiszpańskie powiedzonko; ale
wszystko przemija, ponieważ
trudzimy się dla Boga, a Bóg nie
przegrywa bitew i jest bardziej
Ojcem dla tych, którzy pragną być
wobec Niego jak dzieci.**

W tamtym czasie nikt nie zauważył
jego utykania, ani tego, że ma
trudności z poruszaniem ramionami.
W rozmowie z księdzem Álvaro del
Portillo i ze mną otwarcie wyraził, to
co czuje: **Jakże malutko jest to, co
mam i co pragnę ofiarowywać
Panu. A także to drugie – moje
cierpienie za Kościół – to jest tak
bardzo ważne. I robi się niezła**

mieszanka! Cierpienie fizyczne kosztuje, ale kosztuje więcej, gdy łączy się z cierpieniem moralnym, które się trwa od dłuższego czasu, ale trzeba powiedzieć *fiat!*, pogodnie akceptując wolę Bożą. Zawsze powinniśmy oddawać się w ręce Pana, nie ma innego miejsca, w którym byśmy znaleźli więcej pokoju i bezpieczeństwa.

Po jednym z tych ataków wylewów do stawowych zajął się nim pewien lekarz i, podejmując zbyt pochopnie decyzję, przepisał mu leki, które złagodziły ból, ale jeszcze bardziej zaszkodziły jego słabemu zdrowiu. Gdy ksiądz Prałat Escrivá dowiedział się o tym, nie wyrwało mu się ani jedno, najmniejsze słowo skargi.

W pewnej sytuacji z powodu wylewu do stawowego został całkowicie pozbawiony możliwości poruszania ręką i trzeba ją było zawiesić na temblaku. W takich okolicznościach

przyjął pewnego członka Opus Dei, będącego przejazdem w Rzymie, który z synowską troską zapytał: „Ojczy, ale to nie jest nic groźnego, prawda?”. A on natychmiast mu odpowiedział: **W Dziele nigdy nic nie jest groźne, jeśli się posiada nadprzyrodzone spojrzenie, miłość Boga, to wszystko jest normalne.**

- Mimo że wynika to jakby z tego, o czym wcześniej mówiliśmy, to jednak wydaje mi się ważne, aby jeszcze poruszyć to tak charakterystyczne dla świętych nadprzyrodzone przyjmowanie choroby i jej ofiarowywanie.

W momentach, kiedy widzieliśmy, że z powodu pracy i choroby jest po ludzku zupełnie wyczerpany, wyjaśniał nam, że nie zamieniłby się z żadną inną osobą ani też że nie tęskni do lepszego stanu zdrowia. Był przekonany, że Pan daje mu to, czego potrzebuje najbardziej, aby go

uświęcić. Głęboko ufał, że Bóg posłuży się tym, by jeszcze bardziej go z sobą zjednoczyć.

Chociaż mógłbym przytoczyć wiele innych wydarzeń, myślę, że to z 18 października 1973 roku, w którym uczestniczyłem, jest świetną ich ilustracją. Pewne małżeństwo zaprosiło Założyciela Opus Dei do siebie. Ich najstarsza córka była upośledzona umysłowo. I chociaż ten swój ciężar dźwigali z prawdziwie nadprzyrodzonym poświęceniem, zostali jeszcze bardziej umocnieni w tej swojej postawie, gdy wysłuchali księdza Prałata Escrivę i zobaczyli miłość, z jaką potraktował ich chorą córkę. Po wizycie, gdy wracaliśmy do biura, powiedział do mnie: **Musimy podziękować Bogu za to, że jesteśmy normalni: normalni, aby z radością móc ukochać cierpienie. Cierpienie, w Opus Dei, jeśli żyjemy tym duchem, którego Pan dla nas pragnie, przemienia się w**

miłość, i to w miłość przepelnioną radością. Następnie po chwili z naciskiem dodał: **Nie zapominaj o tym, czas przemija, ja odejdę zdać sprawę przed Bogiem, i ty będziesz musiał powtórzyć swoim braciom to, co ode mnie usłyszałeś: że kiedy przychodzi cierpienie, my mamy je ukochać, błogosławić i przemieniać na chwałę Bożą, zawsze z radością, choć nie mówię, że to nie kosztuje.**

Od początków Opus Dei swoje cierpienia traktował jak pieszczoty od Boga. Uważał, że są to prawdziwe skarby i zawsze je cenił, ponieważ ofiarowane w zjednoczeniu z Męką naszego Pana Jezusa Chrystusa, mogły przynieść ogromną pomoc. Tłumaczył nam też, **że kiedy przychodzi choroba, trzeba ją przyjąć z miłością; że musimy wiedzieć, jak ją uświęcać, ponieważ staje się naszą „pracą**

zawodową”, powierzoną nam w tym momencie przez Pana.

Na początku 1970 roku od czasu do czasu łapały go ataki czkawki, które trwały wiele godzin. Nie tracił z tego powodu spokoju ani dobrego humoru, nie przerywał pracy i wysłuchiwał każdego z nas, którzy mieliśmy do niego sprawy. Starał się nie przywiązywać wagi do tych uciążliwych ataków, pomimo że wielokrotnie nie pozwalały mu nawet zasnąć. A nas nie przestawał przeproszać za dokuczliwośći podczas rozmowy. Przyznaję, że byłem wewnętrznie spięty i budowałem się w sensie nadprzyrodzonym, jego radością i naturalnością, z jaką się zachowywał: kontynuował swoją pracę, jak gdyby nic się nie stało.

W 1970 roku po raz kolejny stwierdził: **Tylko wtedy, gdy nieustannie jednoczymy się z Męką**

Jezusa Chrystusa, będziemy umieli stawać się przydatnymi narzędziami, chociaż jesteśmy samą marnością. Myślę, że te słowa obrazują kierunek jego życia, w którym zakładał występowanie cierpienia.

- Wszakże warto tu wyjaśnić, że to oddanie się w ręce Boga szło w parze z roztropnością... także ze strony Custodes: stwierdzam, że nie przestawali różnymi sposobami dbać o zdrowie księdza Prałata Escrivy.

Przede wszystkim, kiedy stwierdzał, że objawy choroby są poważne, nie ukrywał ich przed nami, którzy mieliśmy obowiązek troszczyć się o jego osobę. Ponadto wręcz rygorystycznie podporządkowywał się zaleceniom lekarzy. I wreszcie, nie ryzykował z powodu jakiegoś kaprysu czy chęci realizowania własnej woli.

W chorobie zachowywał roztropność, nie wykazując szczególnego przywiązania do zdrowia czy też koncentrowania się na dobrym samopoczuciu lub złym stanie fizycznym. Lekarzom oświadczał, nie zabiegając o nic nadzwyczajnego, aby wzięli pod uwagę to, że musi zajmować się pracą. Prosił ich również, aby nie traktowali go pobłaźliwie, jak również by nie sądzili, że może poświęcić zbyt wiele czasu na odpoczynek lub nie zajmować się obowiązkami, które były najważniejsze ze względu na służbę Bogu. Później podporządkowywał się leczeniu i wymogom diety, którą mu zalecali. W podobny sposób starał się wypełniać zalecenia co do poprawy sprawności fizycznej i postępować zgodnie ze wskazówkami ustalanimi w szpitalu, szczególnie w ostatnim czasie.

Oczywiście, znosił wszelkie kuracje – bez względu na to, jak były uciążliwe – bez najmniejszej skargi, ofiarowując to Panu; zabiegi były naprawdę bolesne, jak choćby wtedy, gdy cierpiał na wylewy do stawowe; czy gdy robiliśmy mu zastrzyki nie mając doświadczenia, które same w sobie były bolesne, albo gdy leczył dziąsła itd. Znosił to wszystko ze świadomością głęboko nadprzyrodzoną i szczerze dziękował za przysługi i troskę, jaką mu okazywano.

Od razu zdumiało mnie to, że przyjmuje leki, które mu podają, bez pytania o ich działanie: to całkowite przyzwolenie było jednym z jego sposobów dopasowywania się do woli Bożej: nie wykazywał najmniejszego sprzeciwu, ani nawet zainteresowania, dlaczego musi przyjmować to czy tamto.

Nigdy nie prosił o własne uzdrowienie. Dziękował Bogu za dolegliwości i przemieniał je w modlitwę ciała: starał się pogłębić swoje życie wewnętrzne, jeśli nie mógł uczynić już nic innego. Mogę zatem z całym przekonaniem stwierdzić, że przyjmował i kochał choroby, i przesycił je radością, przemieniając w *pracę zawodową*, przez którą sam się uświęcał i pomagał uświęcać się innym.

Kiedy jego zmęczenie czy słabość dawały o sobie znać, starał się nadal pracować nie tracąc czasu, a nas informował o tym bez roztkliwiania się i przesady: **Nie martwcie się**, uspokajał nas, **nic mi nie jest**; a czasami dodawał: **Nie spałem tej nocy, lub zaszkodziło mi to, co zjadłem, ale to nie ma znaczenia.** Abyśmy również i my nie szukali żadnych wymówek i nie ustawiali w trosce o dusze, w 1973 roku mówił wprost: **Nie akceptuję tego, aby w**

**Opus Dei byli duchowi starcy,
wygodnisie z chorobliwą psychiką,
ponieważ tacy tylko nam
przeszkadzają, są zamknięci w
kręgu własnego egoizmu, własnego
ja, zamiast nieustannie troszczyć
się o dusze. Wszyscy mamy te same
zobowiązania i wszyscy –
szczególnie w apostołacie –
posiadamy młodość i siłę od Boga.**

- A wszystko wskazuje na to, że będąc
w takiej kondycji zdrowotnej, nie
rezygnował z opieki i wsparcia
swoich synów.

Zawsze troszczył się o nich. Pewnego
popołudnia w 1953 roku,
zobaczyłem, że jest zupełnie
wyczerpany ze zmęczenia i z
powodu poważnych dolegliwości na
tle cukrzycy. Następnego dnia
oświadczył mi: **Wczoraj, zupełnie
rozbity, nie byłem w stanie
zapanować nad własnym ciałem
poszedłem schronić się u twoich**

braci z Kolegium Rzymskiego Świętego Krzyża. Zobaczyłem w nich tak wielki zapal w zmaganiu, aby zbliżyć się do Boga, że natychmiast powróciłem do pracy, czując się zobowiązany, aby im pomoc przez ofiarowanie mojego umęczenia. Muszę uściślić, że kiedy „schronił się u swoich synów”, w rzeczywistości poświęcił się ich formowaniu, rozmawiając z nimi i odpowiadając na pytania, ukrywając zmęczenie, które go ogarniało.

W nocy z 1 na 2 stycznia 1975 roku miał krwotok płucny, a potem choroba nerek wywołała niewydolność serca. Poprosił o posługę duchową; ale oprócz tego, można było mu też pomóc medycznie opanowując ten silny krwotok. Przez całą noc czuwaliśmy przy nim w dwie osoby, na wypadek gdyby ponownie coś przydarzyło mu się tej nocy. Pozostawał w półśnie i wielokrotnie – poza tym że

nieustannie powtarzał akty strzeliste – proponował nam, abyśmy poszli odpocząć, ponieważ już nic mu się nie stanie. To był bardzo poważny atak, a on nie bacząc na to, wykazał tak wielką siłę ducha, że następnego rana wstał i dziękował Matce Bożej Łaskawej za to, że zachowała go jeszcze przy życiu, wyrażając jednocześnie zgodę na wszystko, co Bóg mu przygotował. Niedługo potem wyruszyliśmy do Hiszpanii, aby dokładnie przebadali go tamtejsi lekarze, którzy szczegółowo znali kliniczny przebieg jego choroby. Potwierdzili nam, że sytuacja była naprawdę poważna, ale stwierdzili to dopiero po badaniu, ponieważ nawet nie przypuszczali, że osoba zachowująca się tak normalnie i tak nadzwyczajnie żywa, może być w takim stanie zdrowia.

Później, za zgodą lekarzy przedsięwziął trzecią podróż do Ameryki. Po ludzku nie miał żadnej

ochoty, ale uznał, że brak właśnie tego pragnienia, jest wyraźnym znakiem, że powinien ją podjąć i że przyniesie ona wiele duchowych owoców. Na kilka dni przed rozpoczęciem nowych katechez zauważono u niego oznaki wyczerpania. Niczego nie jednak zmienił w swoich planach apostolskich, chociaż w czasie pomiędzy spotkaniami był zmuszony leżeć w łóżku, udręczony gorączką, wyczerpaniem i problemami związanymi z oddychaniem i krążeniem. Nie bacząc na nic, wszystko to znosił z radością, dając innym przykład. Kiedy zalecano mu przebywać w łóżku, przyjmował w swoim pokoju najstarszych członków Opus Dei z tych obszarów, aby przekazać im rady na temat ich życia wewnętrznego, pracy apostolskiej i zaangażowania. Wyjaśniał nam to w sposób bardzo naturalny i nadprzyrodzony zarazem: **Tylko Bóg wie, czy jeszcze kiedyś zobaczę się**

z tymi dziećmi, tu - na tej ziemi! Do Europy powrócił z mocno nadszarpniętym zdrowiem.

Żył w tak wielkim oderwaniu od własnego ja, że rankiem 26 czerwca 1975 roku nie przywiązał żadnej wagi do poważnych objawów choroby, które dała o sobie znać i nie pozwalając sobie choćby na najmniejszą chwilę odpoczynku, podjął decyzję o powrocie z Castelgandolfo.

Również cały ten czas, od momentu, gdy źle poczuł się aż do chwili śmierci, napełniał wszystkich pokojem, radością i wyciszeniem. Zupełnie nie zajmował się swoim stanem zdrowia, żegnając się z różnymi osobami z naturalnością kogoś, kto się doskonale czuje. Gdy tylko Pan powołał go do siebie, wielokrotnie rozmyślałem o tym, że tamtego przedpołudnia musiał bardzo cierpieć fizycznie.

3. On ukochał wolę Bożą

- Popatrzmy, jak ksiądz Prałat Escriva walczył. Zbliżył się w ten sposób do jądra osoby, która została święta, bez eufemizmów ani upiększeń.

Harmonijne ćwiczenie cnót nie okazuje się czymś nadzwyczajnym, właściwym superludziom, ponieważ polega na poznawaniu i ukochaniu woli Bożej aż do utożsamienia się z Chrystusem. Wystarczy wspaniałomyślnie odpowiedzieć na działanie Bożej łaski, która nikomu nie jest odmawiana.

Kiedy w 1956 roku czytałem Drogę, do głębi zaskoczyło mnie odkrycie nowego stylu rozmowy z Bogiem. Po upływie czasu myślę, że jego niezwykłość tkwi w owej głębokiej osnowie, którą się zauważa w pismach Założyciela Opus Dei: wymiar powołaniowy życia chrześcijańskiego, przeżywanego – bardziej niż rozumianego – jako

*nieustający dialog stworzenia ze swoim Bogiem Ojcem. Wyraził to w Kuźni (422) w związku z Janem, Apostołem młodzieży: **Czy nie chciałbyś być godzien tego, aby nazywali cię: „tym, co kocha wolę Boga?”**.*

Ksiądz Prałat Escrivá opowiadał nam, że jedna jego babci nauczyła go krótkiej modlitwy, która wryła mu się w pamięci: „Jestem Twój, urodziłem się dla Ciebie, czego chcesz, Panie, ode mnie?”. Był przekonany, że Bóg mówi do nas w każdej sytuacji i dlatego podkreślał konieczność odkrywania *quid divinum* w każdej chwili.

Zachęcał nas, byśmy rozważali, że Bóg kocha każdego z nas, że szuka nas i czeka na nas; a w 1968 roku podsumował to w ten sposób: **Pan powiedział do nas, tak jak mówi miłujący ojciec: *Ego redemi te et vocavi te nomine tuo: meus es tu!***

[„Wykupiłem cię i wezwałem cię po imieniu: tyś mój” (Iz 43,1)].

Zostaliśmy wezwani po imieniu, „nomignolo” (zdrobniale), tak jak nazywają nas w rodzinie, i dodał: *meus es tu!* To zdumiewające! Bóg jednoczy się z nami. Zobaczcie, że wszystko to, co mówi nam Pismo święte, jest prawdziwe. To nie są tylko słowa! Przypominają nam, że Bóg nas kocha, że Bóg nam wybacza, że Bóg liczy na nas.

- W pewien sposób ta postawa u Założyciela Opus Dei uwidoczniła się bardzo wcześnie i doprowadziła go już w Logroño do decyzji zostania kapłanem.

Wielokrotnie słyszałem o tym, jak zrodziło się w nim przeczucie własnego powołania do służby Panu w kapłaństwie, kiedy **miał piętnaście czy szesnaście lat**. Od tamtego czasu był głęboko przekonany, że Bóg zawładnął jego

życiem, ogarnął jego duszę nadprzyrodzonym pragnieniem poszukiwania Go, patrzenia na Niego, obcowania z Nim, kochania Go coraz bardziej. Gdy zdał sobie sprawę z tego zakochania się, które opanowało całą jego istotę, przyznał, że **była to jego pierwsza i jedyna miłość**, nieustannie wzrastająca, wciąż nowa i nie nużąca. Jego decyzja, aby zostać kapłanem, opierała się jedynie i wyłącznie na pragnieniu pełnienia woli Bożej w tym, o co go Bóg prosi, ale czego nie wyjawiał mu od razu. Był głęboko przekonany, że jeśli zostanie kapłanem, będzie bardziej dyspozycyjny, aby słuchać głosu Boga.

Powołanie przyjął z prawdziwym optymizmem. Nie wstępował do seminarium z przeświadczeniem czynienia jakiejś ofiary, jakiegoś heroicznego poświęcenia się. Nie lekceważył wyrzeczeń, które za sobą

pociągało, ani tego, że dla jego rodziny znaczyło to rezygnację z oczekiwań, które wiązano z jego przyszłością. Ale żadna z tych przyczyn nie była przeszkodą, aby oddać się do dyspozycji woli Bożej.

Rozmawiał z rodzicami o swojej decyzji, która wymagała od nich porzucenia ludzkich planów, dobrze wszystkim znanych. Odnowił swoje ufne oddanie się Panu i z myślą o przyszłości rodziny, skierował do Niego prośbę pełną ufności, o jeszcze jednego syna dla rodziców. Po upływie paru miesięcy, stwierdził, że jego pragnienie spełniło się. Doña Maria Dolores oznajmiła swoim dzieciom, że spodziewa się dziecka. Ksiądz Prałat Escrivá opowiadał nam, że przepełniła go radość i miał pewność, że Pan wysłuchał jego modlitwy i że tą nową latoroślą będzie chłopiec, co się spełniło.

Jeszcze zanim został alumnem w seminarium w Logroño, sądził, że kapłaństwo jest czymś niezwykle wzniosłym, czymś właściwym dla osób szczególnie wybranych przez Boga. To przez rodziców został wychowany w szacunku i czci wobec kapłanów, ponieważ byli dla niego przedstawicielami Chrystusa na ziemi. To poszanowanie łączyło się serdeczną pamięcią, jaką zachowywali po krewnych, którzy wybrali stan kapłański i spośród których paru było biskupami i wikariuszami diecezji. Ale przede wszystkim był przekonany, że Boskie powołanie wymagało od niego tej drogi kapłańskiej, jak również całkowitej odpowiedzi na łaskę i absolutnego zapomnienia o sobie, aby móc w pełni poświęcić się posłudze kapłańskiej.

- Decydującym momentem w życiu księdza Prałata Escrivy była śmierć jego ojca w Logroño (1924).

Przyjechał z Saragossy, gdzie kończył seminarium.

Spędził tam czas niezbędny, zając się pogrzebem i związanymi z nim sprawami. Nikt z członków rodziny, ani z Saragossy, ani z Balbastro, nie przybył do Logroño. Jednakże nie czuł się tym wcale rozgoryczony. Rozważył wszystkie okoliczności zaistniałej sytuacji, które prawdopodobnie spowodowały, że każda z tych osób miała swoje zobowiązania i uznała, że jej obecność nie jest konieczna ani obowiązkowa. Z pewnością w tych trudnych chwilach, związanych z pogrzebem ojca, cierpiał z powodu osamotnienia, tym bardziej, że jego matka i siostra zgodnie ze zwyczajem tamtej epoki pozostały w domu.

Gdy po pogrzebie wracał do domu, zaczął się zastanawiać nad tym wszystkim, co się wydarzyło, i nad sytuacją, w jakiej znalazła się jego

matka i rodzeństwo. W pewnym momencie przypomniał sobie, że ma w kieszeni klucz od trumny. Gdy przechodził przez most na rzece Ebro, pomyślał, że Pan właśnie zabrał mu to wszystko, z czym był związany, co dawało mu pocieszenie i stanowiło oparcie na tej ziemi. I aby dopełnić tę ofiarę, wyrzucił do rzeki klucz, okazując tym swoje pełne oddanie się woli nieba: **Po co miałem zachowywać ten klucz, który mógł stać się dla mnie przywiązaniem?**

Po pogrzebie ojca powrócił na studia do Saragossy, aby przygotować się do święceń diakonatu, co miało wkrótce nastąpić. Otrzymał je 20 grudnia, zaledwie cztery tygodnie po śmierci ojca. Kiedy wspominał te wydarzenia, abyśmy zrozumieli, że siła przychodzi od Boga, zwykle tak je komentował: **Nigdy w to nie wątpiłem, że to Pan postawił mnie w tej sytuacji. Dlatego zarówno po**

ludzku, jak i w sensie nadprzyrodzonym nie mogłem uczynić nic więcej, jak tylko chętnie zaakceptować tę Jego świętą i sprawiedliwą wolę.

- Wiele się pisało na temat okresu jego formacji kapłańskiej, którą odbywał w seminarium w Saragossie. Może mógłby Ksiądz Biskup przytoczyć choćby jedno wspomnienie z tamtego czasu. Na przykład, Ksiądz Biskup towarzyszył Założycielowi Opus Dei, który odwiedził Saragossę, kiedy tamtejszym arcybiskupem był Casimiro Morcillo, a następnie Pedro Cantero. Wiem, że prosił ich wówczas o pozwolenie pomodlenia się w jednej z kaplic arcybiskupiego pałacu w Saragossie, w której kardynał Soldevila 28 września 1922 roku udzielił mu tonsury.

Gdy po raz pierwszy, po swych latach seminaryjnych, odwiedził kaplicę, ze

szczegółami pamiętał, jaka wyglądała. Natomiast nie za bardzo wiedział, w którym miejscu arcybiskupiego pałacu się znajduje. Chodził szukając jej z zapalem, w towarzystwie biskupa Casimiro Morcillo, zaglądając do różnych kaplic. Bez najmniejszego wahania mówił: To nie tu, to nie tu..., aż odnalazł miejsce, w którym otrzymał tonsurę. Rzucił się wtedy na kolana, zatapiając się w modlitwie. Podobnie jak przy wielu innych okazjach, powtórzył formułę, którą podczas ceremonii tej wypowiedział biskup: *Dominus pars hereditatis meae et calicis mei, Tu es qui restitues hereditatem meam mihi* („Pan jest przeznaczonym mi działem i moim kielichem: To właśnie Ty mój los zabezpieczasz”: Ps 15,6). Wyszedł stamtąd wzruszony, dziękując Trójcy Świętej – tak nam opowiadał – za wszystkie wydarzenia swojego życia, które zostały naznaczone boską

pieczęcią przez ów rytuał nadania tonsury.

- Kiedy ksiądz Prałat Escrivá de Balaguer nawiązywał do przeciwności, jakich doświadczał przez całe swoje życie, dawał do zrozumienia, że lata spędzone w Saragossie były ciężkie. Problemy, jakie miał w seminarium, są znane. Chciałbym wiedzieć, jak zareagował, kiedy 30 marca 1925 roku polecono mu, aby jak najprędzej przeniósł się do parafii Perdiguera.

Miało to miejsce dwa dni po otrzymaniu sakramentu kapłaństwa, rzecz nie praktykowana prawie we wszystkich diecezjach w całej Hiszpanii, a szczególnie w dużych, gdzie była obfitość kleru. Starano się raczej, aby nowo wyświęceni kapłani wykonywali swoją pracę pasterską pod okiem starszych doświadczonych kapłanów, którzy mogli wyjaśniać ich wątpliwości i w

duchu braterstwa ukierunkowywać swoich młodszych braci.

Z tego względu decyzja wysłania go poza miasto, samego, z dala od rodziny, na pracę absolutnie nową dla młodego kapłana, wywołała pewne zdumienie. On jednakże nie sprawiał najmniejszej trudności i jeszcze tego samego dnia - 31 marca – przeniósł się do wioski Perdiguera, pozostawiając swoją matkę i rodzeństwo w Saragossie. Ta rozłąka nie zmąciła ani nie pomniejszyła jego żarliwego oddania się duszom. Nigdy nie wypowiedział ani jednego słowa powątpiewania, sprzeciwu czy krytyki. Przeciwnie, przybył do Perdiguera z przekonaniem, że wykonując swoje obowiązki i poddając się kompetentnej władzy, znajdzie najlepszy sposób podobania się Bogu i odkrywania Jego Woli. Nieustannie miał świadomość, że Bóg czegoś od niego pragnie. Ze świętym niepokojem wsłuchiwał się we

wnętrze swojej duszy, ale jeszcze nie sprawdził się w określonej pracy.

- Kiedy wrócił do Saragossy, został kapelanem w kościele świętego Pedro Nolasco. I zabiegał o to, aby przydzielono mu jeszcze inne kapelaństwa, w których mógłby rozwijać posługę kapłańską szerzej zakrojoną i z większym poświęceniem. Ale nic nie osiągnął.

Nie znam powodów, dlaczego odmówiono jego prośbom. Prawdopodobnie było to wynikiem nadmiernej liczby kleru w diecezji i kandydatów na diecezjalne miejsca duszpasterskie było aż nadto.

W kancelarii diecezjalnych biur zawsze oznajmiał, że jest gotowy do podjęcia obowiązków tam, gdzie mu polecą i – powtarzam – nigdy nie odmówił podjęcia żadnego obowiązku, który mu powierzono. Wielokrotnie mówił nam podkreślając, że jest konieczne, aby

nie stawiać warunków, ponieważ drogi Pańskie często biegną tam, gdzie się ich najmniej spodziewamy; i najpewniej prowadzą tędy, którądy wskazują przełożeni – uprawnomocniona władza – ponieważ oni – w sposób zwyczajny - przekazują wolę Bożą.

- Pomimo to ktoś przedstawił te trudności w sposób negatywny, jak gdyby Założyciel Opus Dei był w konflikcie z władzami kościelnymi Saragossy, a powody jego wyjazdu do Madrytu nie były takie jasne.

Według wiarygodnych dokumentów, do Madrytu przeniósł się w tygodniu wielkanocnym 1927 roku, za wyraźną zgodą arcybiskupa Saragossy Rigoberto Doménecha, któremu przedłożył swój plan zrobienia doktoratu z prawa cywilnego i osobiście przedstawił stosowną prośbę. Gdy ta prośba została zatwierdzona, przeniósł się

do Madrytu, ponieważ tylko na Uniwersytecie Madryckim mógł otrzymać tytuł doktora.

Nie wykluczał też możliwości kariery naukowej lub podobnej, do podjęcia której w Hiszpanii wymagało się tego stopnia naukowego. Musiał wszakże brać pod uwagę fakt, że na jego barkach spoczywa utrzymanie jego rodziny.

W swojej prośbie do arcybiskupa Saragossy podkreślał – ponieważ w ten sposób to zaplanował – że podczas tych studiów większą część swojego dnia będzie poświęcał na działalność duszpasterską. Podporządkuje tym obowiązkom swoje studia i pisanie pracy doktorskiej.

Rzeczywiście, był pierwszym kapelanem Patronatu Chorych. Nominację tę otrzymał za zgodą władzy diecezjalnej. Później został rektorem Królewskiego Patronatu

Świętej Elżbiety. Kiedy otrzymał tę nominację dekretem Prezydenta Republiki, nie uczyniono nadania kanonicznego. Nie było to wynikiem tego, że biskup oponował, ale tego, że hierarchia kościelna nie chciała popierać decyzji rządu, który deklarował się jako antyreligijny i antyklerykalny, podejmując żałosne kroki dyskryminacji wobec katolików. Chciano uniknąć nawet cienia podejrzeń o współpracę choćby formalną czy tylko zewnętrzną z władzami cywilnymi. W każdym razie, biskup Madrytu Leopoldo Eijo, zakomunikował mu, że będzie pracował jako rektor tego Patronatu, wykonując przy tym wszystkie własne obowiązki kościelne, chociaż nie ma na piśmie nadania kanonicznego.

Ten obowiązek wiązał się z jedną korzyścią: z uzyskaniem inkardynacji do diecezji madryckiej, gdzie już za zgodą biskupa rozpoczął

pracę apostolską z Opus Dei. Wzrosła liczba osób, które wstąpiły do Dzieła, a także nabrały intensywności prace apostolskie, które już zaczęły się rozwijać. Nie było w nim żadnej ambicji, aby poprawiać swoje curriculum, co stało się całkiem oczywiste w związku z późniejszym odrzuceniem wielu możliwości robienia kariery kościelnej, wyłącznie dlatego, że nie chciał stawiać żadnych warunków Opatrzności Bożej.

- W życiu księdza Prałata Escrivy nieustannie uwidacznia się ta postawa otwarcia na miłość Boga, którą każdego dnia deklaruje, aż do całkowitego utożsamienia się z Chrystusem.

Zanim zabrał się do jakiejś pracy, miał zwyczaj zastanowić się, jak ma to robić: **Jak zrobiłby to Jezus, w jaki sposób zajęłaby się tym Najświętsza Maryja, w jaki sposób**

stawiłby temu czoło święty Józef, a co zrobiliby Apostołowie, gdyby znaleźli się na moim miejscu? I dokładał wszelkich starań, aby wszystko wykonywać w takim właśnie duchu.

Często podczas wspólnej pracy, gdy towarzyszyłem mu w różnych czynnościach związanych z zarządzaniem lub gdy pojawiały się kolejne życiowe trudności, tłumaczył mi: **Nie chcę robić tego, co mnie wydaje się, że jest dobre, ani też godzić się na to, co moglibyśmy ukazać ludziom jako nadzwyczajne dokonania. Pragnę tylko i wyłącznie tego, czego chce Bóg dla naszego życia, zarówno w tym co wielkie, jak i w tym co małe. W taki sposób, aby nie tylko biernie poddawać się temu, czego pragnie Bóg, ale by aktywnie ukochać Jego wolę, ponieważ On właśnie tego chce.**

Zdumiewała mnie jego miłość, w której nieustannie wzrastał. Każdego dnia żył tą miłością, która była szczególnie widoczna w jego obcowaniu z Panem. Staje się zrozumiałe to, co powtarzał, że czuje się bardzo młody **młodością Boga**. Ponieważ jego gorąca miłość naprawdę tryskała niczym z serca młodej osoby, która nie zważa na żadne trudności, chce tylko być blisko tego, kogo kocha. Często pod koniec dnia zwracał się do księdza Álvaro del Portillo i do mnie mówiąc, że jest przekonany, że dokonał najlepszego wyboru i że pragnąłby zrealizować go z całkowitym poświęceniem swojej nędznej osoby, nawet gdyby zaniemógł fizycznie, co to zresztą miało miejsce u schyłku jego życia. **Zapewniam was –** zwierzał się nam wówczas **– że moja miłość staje się coraz bardziej wewnętrznie umocniona, ponieważ nigdy moje przekonanie**

**o tym, że On jest wart wszystkiego,
nie osłabło.**

Pragnę tu przywołać pewne przykłady, które ukazują tę drogę jego serca: W 1954 roku powiedział do nas: **Gdy kocha się naprawdę, wówczas wszystko oddaje się z radością, bez wyliczania i bez oczekiwania na wdzięczność: duszy wystarczy, że może się wyniszczać z rozkoszą! Nie zastanawia się, czy już dużo zrobiła lub ile ją kosztowało: w obcowaniu z Bogiem nie zważa się na trudności, ponieważ – tak jak w miłości pomiędzy ludźmi – nie ma takich przeszkód ani niedoskonałości, które uniemożliwiłyby rozmowę z ukochaną osobą.**

Często przywoływał takie hiszpańskie przysłowie: „Za miłość płaci się miłością”. W odniesieniu do Boga stosował je w tym sensie, że w każdym momencie był uległy Mu, nie

stawiając żadnych warunków. W 1966 roku, słyszałem, jak mówił: **Jeśli mogę powiedzieć o sobie cokolwiek, co byłoby prawdą, to jedynie to, że nigdy nie pełnię własnej woli: tego, co sam chciałbym robić. Oczywiście, jeżeli byłbym zależny tylko od siebie, od razu zostałbym adwokatem, historykiem itp.; a nie kapłanem Opus Dei. Ale pomimo to jestem szczęśliwy, bardziej niż ktokolwiek, wypełniając wyłącznie wolę Bożą, odpowiadając na Jego miłość, ponieważ sprawia mi to radość.** Tak samo 29 listopada 1972 roku, chcąc podkreślić, że ta miłość obejmuje całą naszą egzystencję, podkreślił: **W Opus Dei trzeba poświęcić życie, krew, duszę: wszystko dla Boga! Za Jego powołanie nie płaci się pieniędzmi, płaci się całym życiem.**

Zawsze coraz bardziej starał się iść za wolą Boga, nie myśląc o tym, co

już Mu oddał. Uczył się oddawać całkowicie, biorąc przykłady ze zwyczajnego życia: z miłości rodziców do dzieci, która sprawia, że nie liczą swojego poświęcenia ani hojności; z gorących uczuć zakochanych, którzy akceptują trudności, nie zważając na nic, byleby być razem. W konkluzji podkreślił potrzebę naszej odpowiedzi na łaskę, ponieważ zostaliśmy wybrani przez Boga, aby Go wielbić i oddawać Mu całą chwałę. W 1968 roku zrobił nam rozważanie na temat tej prawdy: **Nie możemy odczuwać – tego nie da się pogodzić w duszy wybranej przez Boga – tęsknoty za tym, z czego zrezygnowaliśmy. Nasze wezwanie, nasze powołanie to wielka łaska od Pana Boga dla każdego z nas. Dlatego nie czuję się przymuszony: mam pełną wolność, całkowitą, kochania Boga.**

Zachęcał nas także, abyśmy okazywali Panu swoją miłość poprzez wierne i szczere wypełnianie swoich obowiązków, wynosząc je tym samym do zawsze do porządku nadprzyrodzonego. 11 lutego 1973 roku stwierdził: **Prawie wszystkie nieszczęścia pochodzą stąd, że człowiek szuka afirmacji własnego ja.**

- To ciekawe dowiedzieć się, jak prowadzić tę walkę przeciwko własnemu „ja”, w której – wbrew temu, co może wydawać się na pierwszy rzut oka – wykuwa się osobowość cechująca się wytrwałością i pociągającą.

Ksiądz Prałat Escrivá zmagał się ze sobą, aby wszystko poświęcić Bogu: zdrowie duchowe i fizyczne, radości i cierpienia, pracę i odpoczynek, wspólne codzienne życie z innymi i relacje z osobami, z którymi spotykał się. To oddawanie podejmował

każdego dnia od nowa, wzywając Ducha Świętego najprostszymi słowami: **To, co Ty chcesz, jak Ty chcesz, kiedy Ty chcesz.** Abyśmy i my starali się o cierpliwość i nadprzyrodzony pokój, które są owocem codziennego oddawania siebie Bogu, nie męczył się powtarzając nam wciąż, że on sam nigdy tego nie żałował, że oddawał swoje „ja” Panu. **Przeciwnie – dodawał – żałowałem i czułem się niezadowolony, gdy tego nie uczyniłem. Wtedy starałem się prosić o przebaczenie, aby to naprawić, ponieważ pragnę, aby Pan całkowicie mną zawładnął.**

Pamiętam, że w 1963 roku zanesiono do krawca, który mu szył ostatnie sutanny, wycinek prasowy z jego wywiadem. Pokazałem mu zamieszczone tam zdjęcie, które z powodu defektu w druku, miało być podretuszowane. Krawiec spojrział na fotografię i odruchowo stwierdził,

że sutanna nie miała przecięcia,
które on zwykle robi.

Opowiedzieliśmy to Założycielowi
Dzieła, a on natychmiast spointował:
**To logiczne! Doskonale rozumiem
reakcję tego człowieka, ponieważ
jego zawód to jego życie, on oddał
się pracy, która go pochłania. Oby
wszyscy ludzie, którzy są dziećmi
Bożymi, zawsze posiadali taką
pasję życia jako chrześcijanie...! i
oby w każdym z nas była obecna ta
pasja, zawsze realizująca się w
budowaniu Opus Dei!**

Nie udałooby mi się zliczyć, ile razy
słyszałem tego typu zachęty do
poświęcenia się, wyrażane nawet w
tych dosadnych słowach: **Ten, kto
nie chce się poświęcać,
przeszkadza nam, robi nam
krzywdę. Trzeba palić mosty z całą
konsekwencją, otwierając na
oścież serca, aby łaska Boża miała
wolny dostęp. Ten, kto naprawdę
oddał się Bogu, zawsze reaguje**

**dobrze, pomimo cierpienia,
ponieważ żyje radością istoty
Bożej, spoglądając na świat w
świetle, które daje Bóg.**

Domagał się odpowiedzi na łaskę
Boga bez wymówek i skąpstwa,
usque ad summum („aż po brzegi”; J
2,7). Z miłości do Trójcy Najświętszej
w każdej chwili dnia potrafił
wydobyć Boski sens: od ofiarowania
modlitwy i pracy aż do oddawania
momentów radosnych spotkań. W
1964 roku mówił do nas z naciskiem
o konieczności kochania Boga w
każdej codziennej czynności:

**Godność ludzka jest tak wielka, tak
wspaniała – jesteśmy przecież
dziećmi Boga! – że każdy powinien
z wielką troską dbać o pracę, tę,
którą wykonuje, traktować ją z tą
samą miłością, z jaką traktuje się
najcenniejszy diament, ponieważ
nasze życie zostało wykupione – co
mówi święty Paweł – za wielką
ceną: krwią Chrystusa.**

Niczym refren powtarzało się w jego rozmowie i zachowaniu: żyć dla miłości Boga. 30 maja 1974 roku wyjaśniał: **Opus Dei jest budowane mocą miłości i ofiary, wspieranych modlitwą i umartwieniem, pracą i zapalem apostolskim. Powinniśmy pragnąć, aby Miłość była kochana, i powinniśmy być jej wdzięczni, że się nam oddaje, ponieważ na ogół nie dziękuje się za to, a my – ty i ja – nie dziękujemy wystarczająco. Chwytajcie przydrożne róże – również te, które mają kolce – i zanoście je Panu. Precz ze zmysłowością! ona przycina skrzydła miłości. Precz z egoizmem czy wygodnictwem...! Gdy w Opus Dei ktoś nie ma radości, musi czynić rachunek sumienia. Brak tej cnoty jest oczywistym znakiem, że dusza jest rozproszona, zwrócona ku czemuś, co nie jest od Boga.**

Byłem także świadkiem wytrwałości, z jaką przeżywał *relictis omnibus*:

zostawić wszystko, aby Pan mógł królować w duszy. Codziennie robił rachunek sumienia, aby zobaczyć, czy we wszystkim poszukiwał chwały Bożej, niczego dla siebie nie zatrzymując. Zwróciły moją uwagę w tym temacie jego słowa z 1953 roku:
Jak łatwo jest wyrazić miłość do Boga poprzez wyrzeczenie! Nie musimy się nawet zastanawiać jak: wystarczy pragnienie nieustannego posłuszeństwa łasce i unikanie jakiegokolwiek manifestacji własnego ja.

- W taki sposób kształtowała się jego walka, aby utożsamić się z wolą Bożą, pełna delikatności, bez skrajności czy wątpliwości, otwarta na innych.

Od najmłodszych lat czuł potrzebę, aby zawsze być oddanym przyjacielem Jezusa. Wspominał, że w obcowaniu z Panem musimy być bardzo delikatni, podobni w

zachowaniu do ludzi, którzy naprawdę szczerze się kochają. Czasami przytaczał następujący przykład: **Gdy idziemy ulicą i na skrzyżowaniu mijając się z innymi przechodniami, ktoś na nas wpadnie lub lekko potrąci, z pewnością nie zwrócimy na to nawet najmniejszej uwagi; ale jeżeli tym, kto nas potrącił, będzie nasz przyjaciel, i potraktuje nas z obojętnością lub lekceważeniem, natychmiast zrodzi się w naszej duszy uczucie bólu. Tę rzeczywistość należy przełożyć na naszą relację do Pana: tak bezgraniczny brak delikatności zakłada, że nie przywiązuje się już wagi do małych niedoskonałości - i nie odczuwa się do nich wstrętu – a wtedy staje się to przeszkodą, która nie pozwala oddać się w pełni miłości Bożej.**

Miał nieprzeciętny dar opowiadani o swoim życiu osobistym w taki

sposób, aby wzbudzać wstręt do grzechu. Zawsze kończył słowami, traktując to jako normę, które stanowiły zasadę jego życia: **Jeśli coś – jakikolwiek czyn lub wydarzenie – nie przybliży mnie do Boga, nie chcę tego!**

Wszyscy, którzy z nim przebywaliśmy, mogliśmy stwierdzić jego autentyczną nienawiść, jaką odczuwał wobec grzechu śmiertelnego, powszedniego, czynionego świadomie, wobec grzechu zaniedbania, braku wdzięczności i niedoskonałości. Wkrótce po tym, jak go poznałem, usłyszałem taką uwagę: **W moich stronach jest takie ludowe powiedzenie, które mówi coś takiego: życie przypomina koło: grzeszysz, spowiadasz się, a potem znowu to samo, od początku. I zakończył poważnym stwierdzeniem: Nigdy w ten sposób! Nigdy nie możemy mieć**

tymczasowej wizji. Z grzechem należy walczyć bez ustanku, ponieważ on oddziela nas od przyjaźni z Bogiem.

Widziałem, z jakim samozaparciem wypełniał postanowienia, aż do znudzenia powtarzając: **Nie wierzę w ostatnie razy: ostatni raz już był!** Nawiązywał tym do postawy niektórych osób, które zamiast od razu przecinać wszystko to, co je oddziela od Boga lub nie pozwala im zbliżyć się do Niego, wymigują się argumentując: „To będzie ostatni raz”. Kiedy uczynił postanowienie rezygnacji z jakiejś rzeczy – dobrej samej w sobie - ze względu na miłość Boga, a my nalegaliśmy, aby z niej jeszcze „ostatni raz skorzystał”, odpowiadał: **Ostatni raz już był.**

Założyciel Opus Dei powtarzał nam prawie bez ustanku: **Jeżeli osoby wokół nas nie stają się dobrymi chrześcijanami, bo się do tego nie**

przyczyniamy, jeśli nie odczuwamy pragnienia, aby ludzie, którzy z nami obcują, stawali się coraz bardziej przyjaciółmi Boga, aż do głębokiej z Nim zażyłości, oznacza to, że nie odpowiadamy na wezwanie, które otrzymaliśmy, a które nas zobowiązuje do szerzenia królestwa Bożego. Wtedy nawet po ludzku - zrozumcie to dobrze! – ponosimy fiasko, ponieważ schodzimy z drogi, którą Pan w swojej miłości i w swym nieskończonym miłosierdziu wytyczył dla każdego z nas.

Poczucie tego, że jest współodkupicielem z Chrystusem, było niezwykle obecne w jego życiu. Kiedy odczuwał ciężar pracy, nie przerywał jej, ale pracował dalej, myśląc o Bogu i o duszach. Już pod koniec swojego życia, w 1973 roku, szczególnie zwracał nam uwagę na obowiązek wierności zobowiązaniom chrześcijańskim:

Kiedy przychodzą nam do głowy jakieś głupoty, musimy zdawać sobie sprawę, że konsekwencje będą bardzo bolesne. Z jednej strony dla nas, ponieważ oddzielają nas od Boga; a z drugiej strony dla wielu dusz, zarówno tych, które są blisko nas, jak i tych, które znajdują się od nas daleko.

- W pewien sposób ksiądz Prałat Escrivá akcentuje tu miłosny aspekt objawiania się woli Bożej człowiekowi i pobudza do szczególnego poczucia odpowiedzialności.

Pewnego razu mówiąc o swoim zaufaniu do Boga, krótko je skomentował, wykorzystując pewną ludową piosenkę, której właśnie wysłuchaliśmy, a która mniej więcej mówiła: „Nie zależy mi na tym, że twój ojciec mnie nie kocha, bo tam w górze ktoś za mną szłocha”. I dodawał: **Zawsze musimy pracować**

z tym poczuciem
nadprzyrodzonego sensu.
Najważniejsza powinna być dla nas
chwała Boga, obrona Prawdy;
bowiem tylko wtedy, gdy służymy
Panu, będziemy też dobrze służyć
wszystkim duszom, przybliżając je
do celu, do którego zostały
powołane.

W podejmowanych zobowiązaniach,
w których jednoczył się z Panem,
widział oczywisty dowód
bezgranicznej miłości Boga do nas,
urzeczywistniającej się na tej
szczególnej drodze, którą każdemu z
nas wyznaczył. W 1969 roku
nawiązując do własnego powołania
powiedział: **Do szaleństwa kocham
te Boże łańcuchy, które przykuły
mnie do Dzieła. Nigdy nie pragnę
się od nich uwolnić, ani nawet ich
poluzować - chociaż czasami mnie
to kosztuje, nakłada ciężkie
brzemie - ponieważ jestem
przekonany, że Pan pragnie mnie**

całkowicie dla siebie na tej właśnie drodze i w tym duchu, którego nam dał.

Komentując w 1962 roku fragment z Księgi Przysłów: *Testis fidelis non mentitur; profert autem mendacium dolosus testis* („Wierny świadek nie kłamie, kłamstwa wypowiada świadek fałszywy”: Prz 14,5), podsumował: **Stąd bierze się skuteczność naszego życia, jeśli jest prawdziwie wierne woli Bożej. Odpowiadając naszym zachowaniem się, naszą wiernością, dajemy świadectwo, apostołujemy, pomagamy innym w ich wysiłku uświęcania się, zgodnie z drogą, którą Pan dla nas nakreślił.**

Już od pierwszych lat istnienia Opus Dei rozwijał swoje poczucie odpowiedzialności w sobie, jak również tych, z którymi obcował, pociągając ich własnym przykładem.

Zachowała się z tamtych czasów jego odręczna notatka, która odzwierciedla jego wielką troskę o to: **To okropne! Chcąc nie chcąc, inni zrobią później „to samo, co zrobił Ojciec”. I dopisał: Mój przykład!!!** Dlatego uznał za bardzo ważne potrzebę pociągania innych przykładem swojego życia. W 1952 roku zapisałem takie słowa: **Zawsze pogodni: z poczuciem odpowiedzialności, czując się ogniwami Bożego łańcucha. Więc chcę, aby to ogniwo, jakim jestem ja, nie przerwało się; ponieważ jeśli ja pęknę, zdradzę innych. I cieszy mnie moc innych ogniw, i napełnia radością, że są ze złota, z platyny, wysadzone drogocennymi kamieniami, podczas gdy ja, patrząc na siebie widzę, że jestem ogniwem najgorszej jakości.**

- Kiedy się mówi o woli Bożej, nieuchronnie nasuwa się ten moment ostateczny, czyli śmierć.

Wyjaśniał, co znaczy nieustannie pokładać nadzieję w Panu: **Nie wystarczy zgodzić się na śmierć: koniecznie trzeba przygotować się do przyjęcia tej naszej dobrej siostry. Ona otwiera nam drzwi prosto w objęcia Boga, z którym już nigdy się nie rozłączymy, przeżywając wieczną radość z oglądania Go twarzą w twarz.** Codziennie rozmyślał o śmierci, przygotowując się do jej przyjęcia, **gdzie Bóg zechce, jak Bóg zechce i kiedy Bóg zechce. Bądźcie pewni, że przyjdzie w momencie najbardziej odpowiednim i że – jeśli z naszej strony zrobiliśmy wszystko, co było w naszej mocy, aby pójść za Bogiem – On nas nie zostawi, ponieważ jest zawsze wierny.**

Pragnął woli Bożej aż do ostatniego dnia życia. Dzięki Bożej łasce, na którą nie zasłużyłem, w momencie odejścia Założyciela Opus Dei z tego

świata, znajdowałem się - wraz z księdzem Álvaro del Portillo - przy nim. Jego śmierć, chociaż przyszła w tym czasie, kiedy z powodu zdrowia nie czuł się najlepiej, była dla wszystkich nagła i niespodziewana. W ostatnim okresie swojego życia nieustannie z wielką żarliwością powtarzał akt strzelisty: *Vultum tuum requiram, Domine!*; Panie, pragnę tylko oglądać Twoje oblicze, szukać Twojego oblicza! Również wielokrotnie wypowiadał: *Omnia in bonum!* Wszystko ku dobru, każde wydarzenie powinno nas prowadzić ku Bogu. Śmierć zastała go w takim właśnie usposobieniu.

Tamtego poranka, kiedy - będąc w Kolegium Rzymskim Santa Maria - źle się poczuł, widzieliśmy, że całkowicie powierza się Miłości Bożej, duchem zatopiony w Bogu, wszystkiego oczekując od Niego. Nie było w nim sprzeciwu ani buntu wobec objawów poważnego

fizycznego cierpienia, które zmusiło go do przerwania spotkania formacyjnego z jego uniwersyteckimi córkami. Jego spokój, pogoda - w sensie ludzkim i nadprzyrodzonym – popchnęły nas w tych pełnych napięcia chwilach do modlitwy i złożenia ufności w Boga, że On postanowi to co najwłaściwsze. Pamiętam, że kilka minut przed śmiercią, pomimo że był bardzo zmęczony, wstąpił do kaplicy i jak zwykle powoli uklęknął i pokłonił się głęboko, ze czcią, w adoracji Pana, odnawiając akt powierzenia Bogu swojego życia.

4. Oświecać Boże drogi na ziemi

- Życie księdza Escrivy de Balaguera wraz z założeniem Opus Dei nabrało nowego, radykalnego wymiaru: poznaje w końcu pragnienie Boga, którego szukał od wielu lat.

2 października 1928 roku wyraźnie zobaczył Opus Dei, skierowane do ludzi wszystkich środowisk, aby poszukiwali świętości w pracy i poprzez pracę, tak zawodową jak i zwyczajne codzienne obowiązki, aby uświęcali różne zajęcia i przemieniali je w modlitwę i narzędzia apostołowania.

Także z całą jasnością dane mu było zobaczyć, że ten cel pociąga za sobą uświęcenie struktur społecznych od wewnątrz, to znaczy, prowadzi do rozwijania życia chrześcijańskiego w świecie, w miejscu i w warunkach, w jakich każdy się znajduje, i bez konieczności tworzenia jakiegoś nowego stanu w Kościele.

Członkowie Dzieła pozostaną nadal tym, kim są: zwyczajnymi chrześcijanami zaangażowanymi w pracę, którą wykonywali do tej pory.

Wspominając swoje powołanie do Opus Dei, przy okazji różnych innych

refleksji, ksiądz Prałat Escrivá powtarzał: **Madryt był moim Damaszkiem**; ponieważ w tym mieście opadły zasłony, które do tej pory przeszkadzały mu odczytać wolę Bożą odnośnie do jego życia. Stwierdzał także, że czuje się **madrytczykiem**, ponieważ tam narodził się do chrześcijańskiej przygody, którą mu przygotował Pan.

- Jak wiadomo, nie chciał zostać założycielem: na początku sądził, że „to” będzie na pewno istniało w jakiejś instytucji Kościoła.

Istotnie, uważając, iż nie jest godzien być założycielem czegokolwiek, i z szacunku, jaki miał wobec wszystkich instytucji Kościoła, zajął się poszukiwaniem jednej z nich, w której byłby realizowany ten cel i prowadzono by życie w duchu, który zobaczył dzięki Panu. Świadomie powtarzam te słowa, aby wyodrębnić formę, w jakiej zostały wyryte w jego

duży. Jeśliby na taką instytucję natrafił, był zdecydowany oddać się do jej dyspozycji, ponieważ wolał być kimś ostatnim w działającym już przedsięwzięciu apostolskim, niż założycielem nowego.

Zwrócił się do różnych stowarzyszeń we Włoszech, w Niemczech, w Szwajcarii, Francji, na Węgrzech i w Polsce. Oprócz informacji, które sam uzyskał z własnej inicjatywy, wpadły w jego ręce, kiedy był kapelanem Patronatu Chorych, a także w późniejszym czasie, gdy pracował w Królewskim Patronacie Świętej Elżbiety, pewne dane o jeszcze innych organizacjach. Wszystkie – z takich czy innych względów, ale zawsze zasadniczych – wyraźnie różniły się od tego, co Pan mu ukazał.

Nigdy *a priori* nie odrzucił żadnej informacji, z tych, które otrzymywał. Przeglądał je z uwagą i szczerym

pragnieniem – powtarzam – aby znaleźć miejsce, gdzie mógłby poprosić o przyjęcie i zająć ostatnie miejsce: aby służyć innym, będąc uległym i wiernym narzędziem Pana.

Oczywiście, od 2 października 1928 roku - z odpowiedzialnością kogoś, kto wypełnia misję powierzoną przez Pana - sprawował charyzmat Założyciela, a potem swoje obowiązki Generalnego Prezydenta. Jedyną racją jego życia było służyć Kościołowi budując Opus Dei. Zapewniał nas, że powinien je spożytkować dla wypełnienia tej konkretnej misji.

- Zanim dotkniemy innych aspektów nowości, jakie wprowadza do Kościoła duch Opus Dei, chciałbym uściślić niektóre fakty historyczne, dotyczące procesu założycielskiego. Dobrze są znane okoliczności, w których 14 lutego 1930 roku, podczas sprawowania Mszy świętej, Pan

poprosił go, aby włączył do Dzieła kobiety. Coś podobnego zdarzyło się również 14 lutego, ale już w 1943 roku, z założeniem Stowarzyszenia Kapłańskiego Świętego Krzyża. Natomiast, z całym szacunkiem dla Stowarzyszenia Współpracowników, ale jest ono bez daty.

Nie wiem, czy istnieje jakaś dokładna data, konkretny dzień, w którym by zobaczył założenie Stowarzyszenia Współpracowników Opus Dei. Ale nosił je w sercu od bardzo dawna, na długo jeszcze przed 1950 rokiem, kiedy to otrzymało ono aprobatę papieską.

Ludzie z Dzieła podejmowali trud apostolski, współpracując z mężczyznami i kobietami wywodzącymi się ze wszystkich stanów społecznych oraz wykonującymi najróżniejsze zawody. W efekcie, poprzez pracę docierano do osób bardzo różnego wyznania, ta

znaczy także do niekatolików oraz do tych, którzy w ogóle nie wyznawali wiary chrześcijańskiej. Założyciel przywiązywał ogromną wagę do kontaktów z osobami, które oddaliły się od Kościoła lub do niego nie należały, aby móc urzeczywistniać to, co określano jako apostołstwo *ad fidem*.

Jednocześnie bardzo jasno dostrzegał potrzebę starania się o zatwierdzenie Stowarzyszenia Współpracowników Opus Dei, ponieważ w kręgu działalności Opus Dei znajdowało się bardzo wiele osób – katolików i niekatolików – które współpracowały poprzez modlitwę i podejmowanie różnych zadań na rzecz Dzieła. Kiedy przedstawił swój projekt odpowiednim władzom kościelnym, znalazła się tam jego propozycja, aby jako współpracownicy mogli być przyjmowani także katolicy, którzy odeszli od Kościoła, niekatolicy, a nawet niechrześcijanie.

W Rzymie pomysł ten wywołał spodziewane oburzenie. Potem czasami nam opowiadał, jak wiele osób mu mówiło: „Ma Monsignore, Lei chiede una cosa impossible” (Przecież Ksiądz żąda rzeczy niemożliwej). Nasz Założyciel był jednak głęboko przekonany, że Pan prosi go o to. Dlatego postawił na swoim i wystąpił z oficjalną petycją. Pierwsza odpowiedź była negatywna. Odczekał roztropnie jakiś czas i powrócił do sprawy: **Jestem Aragończykiem, a Aragończycy są uparci. A w sprawach Bożych trzeba mieć święty upór.**

Na ponowną prośbę Stolica Święta odpowiedziała: *dilata* (odłożone); skomentował to w ten sposób: **To dobrze znana formuła, spotykana w Kurii Rzymskiej, której używa się, odpowiadając komuś, kto ma rację, której jednak nie można mu przyznać. Jeszcze raz odczekał**

rozsądny czas i w 1950 roku, kiedy po raz trzeci wystąpił z naciskiem w tej sprawie, udzielono zgody. Do Stowarzyszenia Współpracowników mogli więc być przyjmowani katolicy, niekatolicy i niechrześcijanie, aby mieć udział w duchowych dobrach Opus Dei, przez zaangażowanie się w modlitwę lub współpracę w dziełach apostolskich, realizowanych jednakże przez członków Dzieła.

- Czy mógłby Ksiądz powrócić do tematu charyzmy założycielskiej – odwołując się do osobistych wspomnień Księdza Biskupa - aby zastanowić się nad jej pewnymi podstawowymi rysami.

Od pierwszego dnia ksiądz Prałat Escrivá uczył mnie kochać Boga naprawdę, w każdej chwili, bez oczekiwania na jakieś specjalne momenty. Kiedyś, w 1966 roku, zwrócił się do niektórych z nas, którzy pracowaliśmy w jego

prywatnym sekretariacie, słowami:
**Pamiętajcie, że w tej zwyczajnej
pracy za każdym papierkiem,
który trzymacie w ręku, ukrywa
się jedna dusza, albo i wiele dusz!
W ten sposób przebóstwiacie cały
wysiłek. A pod koniec swojego życia,
w 1973 roku, głośno rozważał:
Zwracam się do ciebie, który
naiwnie śnisz o realizacji wielkich
osobistych planów. Być może są
one nie czymś innym, jak tylko
ujawnieniem się pychy i próżności.
Pomyśl o tym, że naprawdę dzięki
powołaniu, które otrzymałeś,
znajdujesz się tu – gdzie pracujesz
– a nie przez przypadek, ale w
wyniku działania Bożej
Opatrzności, w dowód Jego miłości
do dusz. Nie odwracaj się do Boga
plecami!**

Mogłem stwierdzić, że tego typu
uwagi czynił bardzo różnym osobom,
aby dostrzegły, że ich praca
nabrałaby wielkiego znaczenia,

gdyby ją wykonywali z miłości do Boga. W 1972 roku, musiał przejść przez prasownię, gdzie pracowała pewna pomoc domowa, członek Opus Dei, zajmująca się w tym momencie płótnami liturgicznymi. Poprosił ją jak o najbardziej zwykłą rzecz: **Gdy prasujesz szaty liturgiczne czy wykonujesz swoją pracę zawodową, czyń dużo aktów miłości Boga.**

Kiedy jakaś osoba jest przyjmowana do Opus Dei, wcale nie musi zmieniać miejsca swojego zamieszkania. Ksiądz Prałat Escrivá podkreślał, że to spotkanie z Bogiem zobowiązuje każdego do podnoszenia temperatury duchowej w otoczeniu, w którym przebywa. I prosił swoje dzieci, aby zwracały uwagę na tych, których mają wokół siebie – krewnych, kolegów, znajomych i przyjaciół – aby rozsiewali troskę o życie chrześcijańskie bardziej

zdecydowane i wielkoduszne.

Przypominał nam, że Pan nas kiedyś poprosi o zdanie sprawy z tych dusz, które postawił na naszej drodze.

Dlatego podkreślał, że nie może się sprawdzić na nas to, co się wydarzyło z paralitykiem przy sadzawce Betsaida: kiedy Jezus zapytał go, czy chce być uzdrowiony, ów człowiek odpowiedział: *hominem non habeo*. Chodzi o to, aby nikt, z kim obcowaliśmy, nie mógł stwierdzić, że nie miał nikogo, kto by mu podał rękę, aby mógł powstać, aby mógł się nawrócić do Boga, by kochać Go całym sercem.

W 1973 roku mówiąc o konieczności odpowiadania na miłość Boga zawsze i we wszystkim, wyjaśnił nam: **Powinniśmy żyć z zadowoleniem w miejscu, w którym przebywamy, i z przekonaniem, że sam Pan nas tu postawił, aby zbawiać dusze;**

trzeba zatem, abyśmy nieustannie byli bardzo bliziotko Pana.

- Oczywiście, rozumiem, że to odniesienie do „miejsca”, w którym się „jest”, nie ma jakiegoś społecznego odniesienia; zatem nie wyklucza wysiłków w kierunku własnego awansu ani sprawiedliwości społecznej. Jedynie próbuje umieścić walkę o świętość i apostołstwo w realiach codzienności, jak najdalej od marzycielstwa czy nierealnych projektów, ale też bez jakiegoś izolowania się lub braku solidarności.

W 1951 roku Założyciel zachęcał nas, abyśmy z heroizmem żyli ową ascezą codzienności: **Nie należy pragnąć wielkich rzeczy, ponieważ mogła by nas spotkać niespodzianka: nie będziemy w stanie ich osiągnąć; lub, co gorsza, jeśli być może przekonamy się, że sami z siebie jesteśmy do czegoś zdolni, możemy**

**popaść w niebezpieczeństwo
zarozumialstwa i pychy. Natomiast
w tym, co przynosi każdy dzień, co
każdemu z nas oferuje, w tym
właśnie mamy sposobność
wszystko czynić z miłości i
przechodzić niezauważani. Ksiądz
Prałat Escrivá nigdy nie rezygnował
z podejmowania codziennego
wysiłku, aby doprowadzić do końca
najmniejszy szczegół, myśląc
wyłącznie o Bogu. Ukochał wielkość
codziennego życia, bez uciekania się
w mrzonki o wielkich dokonaniach,
pomimo że zapoczątkował tak wiele
inicjatyw apostolskich na całym
świecie. Pozostawał w
rzeczywistości, którą Pan objawiał
mu w każdym momencie. Dlatego w
chwilach sprzeciwu i cierpienia z
całą naturalnością zapewniał swoje
dzieci: **Jeżeli ranią nas w głowę, to
znaczy, że mamy chodzić ze
zranioną.****

Zawsze dokładał wszelkich wysiłków, by nie rzucać się nikomu w oczy. Normą jego zachowania było ukrycie się i zniknięcie, aby jaśniał tylko Jezus. Miłość do Boga łączył z troską o Kościół na całym świecie: **Nie szukamy świętości, jeżeli – zawsze i w każdym momencie – nie pragniemy być sługami Boga, sługami naszych braci, sługami wszystkich ludzi. Pragniesz dusz, powiedziałeś mi, a potem dodałeś: nie lubię goryczy samotności. A ja dokończyłem twoją myśl: ale być może sam ją wzbudzasz, ponieważ troszcząc się o innych nie usiłujesz zapominać o sobie.**

W 1954 roku przestrzegał nas: **Moje dzieci, bądźcie przekonani, że w Dziele świętość nie pokrywa się z odizolowaniem: człowiek Opus Dei, który odczuwa swoje chrześcijańskie powołanie, musi poszukiwać przyjaciół, powinien wszczepiać innym to boskie**

**szaleństwo miłości do Boga,
poprzez pracę i rozmowę z
kolegami, znajomymi i krewnymi.**

*- Ksiądz Prałat Escrivá przyczynił się
do powstania prawie od początku
pewnej szeroko zakrojonej
działalności apostolskiej: chodzi o
Akademię DYA, a później rezydencją
studencką o tej samej nazwie w
Madrycie, które powstały już w latach
trzydziestych.*

Muszę uściślić. Założyciel Dzieła
traktował te dokonania jako środki,
nigdy jako cel. Nie interesowało go
organizowanie sieci rezydencji czy
ośrodków edukacyjnych, a jedynie
poszukiwał różnych sposobów
formacji osób, które podejmą
działalność apostolską w miejscach,
w których – wcześniej, czy w danym
momencie lub później – każda z nich
będzie się rozwijała. Od początku
zamierzał za pomocą tych właśnie
narzędzi formować dusze tak, aby

były jak zaczyn. Marzył o kapilarnym rozprzestrzenianiu się życia chrześcijańskiego poprzez przyjaźń. Jednym słowem, w tych ośrodkach widział środki dla rozpowszechniania nauczania i praktykowania wiary.

Na przestrzeni wielu lat dał impuls do podjęcia wielu różnorodnych inicjatyw, inspirowanych różnymi potrzebami i mających różne cele: podczas gdy jedne będą tymczasowe, inne powinny być trwałe ze względu na działalność apostolską, czyli to, od czego Opus Dei nigdy nie może być zwolnione. Znaczy to, że akademie czy rezydencje studenckie, instytuty szkolnictwa wyższego, ośrodki edukacyjne średniego stopnia czy przysposobienia zawodowego, kluby dla chłopców i dziewcząt, przychodnie lekarskie, to wszystko może – ze względu na potrzeby społeczne – zmienić swój pierwotny cel, lub nawet przestać istnieć, jeśli

utraci swoją aktualność. Nie chodzi o podporządkowanie się wcześniej obmyślonym schematom, ale jedynie o to, aby członkowie Dzieła żyjąc w swoich środowiskach, prowadzili działalność w zgodzie z otoczeniem, w którym żyją tak jak inni, przeciętni obywatele.

Natomiast Ośrodki Studiów, Ośrodki formacyjne i rekolekcyjne, Kolegium Rzymskie Świętego Krzyża i Kolegium Rzymskie Najświętszej Maryi, mają charakter stały, ponieważ służą wewnętrznej i niezmiennej potrzebie Opus Dei: specyficznej formacji członków w określonym okresie ich życia, przygotowywaniu przyszłych kapłanów czy zdobywaniu kwalifikacji w celu czuwania nad pracami formacyjnymi w różnych regionach świata. Kolegium Rzymskie Świętego Krzyża, tak jak i Kolegium Rzymskie Najświętszej Maryi, a także inne międzynarodowe

lub międzyregionalne ośrodki, starają się przygotowywać osoby, aby kontynuowały później tę formację i naukę w różnych ośrodkach Opus Dei na świecie.

- Jednocześnie jest wspólne nastawienie na realizację planu i rozwoju tych inicjatyw apostolskich, które wyraźnie łączą świętość z apostołstwem, profesjonalność świecką z chrześcijańskim ukierunkowaniem.

Ksiądz Prałat Escrivá mierzył skuteczność prac apostolskich osoby świętością, jaką osiągnęła pracując w danym miejscu. Dlatego podkreślał konieczność oparcia każdej pracy na fundamencie głębokiej modlitwy i jedności życia zwróconego ku Panu w Najświętszym Sakramencie. Mówił, że wszelka działalność tylko wtedy ma szansę rozwijania się, gdy jest mocno osadzona na modlitwie i umartwieniu. Przez dwadzieścia pięć

lat, które przeżyłem u jego boku
naszego Założyciela nieustannie
słyszałem tę radę.

Tego ducha starał się przekazywać
tak samo tym, którzy zajmowali się
tymi działaniami. Każdemu – na
piśmie lub w rozmowie – mówił o
oczekiwaniu, jakie Pan związał z nim
i jego zobowiązaniem do odpowiedzi
osobistą świętością i pracą
zawodową wykonywaną jak
najlepiej. Wiadomości przekazywane
w środkach masowego przekazu,
zwyczajne rozmowy,
korespondencja, to wszystko
dopingowało go, by prosić o takie
właśnie zaangażowanie. Ileż to razy,
gdy rozważał, z jaką żarliwością
niektórzy oddają się szerzeniu zła,
wyrywało mu się z głębi duszy:
**Gdybyśmy my, którzy przecież
pragniemy służyć Bogu,
przykładali się do tego
przynajmniej z takim samym
zapałem!**

Wielokrotnie mówił nam, że heroizm i oddanie swoich dzieci mierzy ich miłością, nadprzyrodzoną i ludzką, jaką codziennie wkładają w prace apostolskie. Wyjaśniał, że świętość to nieustanne odnajdywanie w sobie tego samego zapachu pierwszego dnia, nawet jeśli mamy za sobą dziesięć lub więcej lat pracy. Stwierdzał, że **miłość Boga nie dopuszcza do znużenia czy monotonii, wszystko bowiem, co robimy z myślą o pełnieniu woli Bożej, otrzymuje wciąż nowy smak.**

Z drugiej strony, nie rezygnował z praw, przysługujących mu jako obywatelowi. Pouczał o tym także członków Dzieła oraz tych, którzy z nimi współpracowali. Z myślą o służbie Kościołowi, a także o konieczności obrony praw obywatelskich katolików, podkreślał obowiązek pozyskiwania subwencji, które przyznaje się osobom chcącym rozpocząć działalność podobnego

typu. Zarządził ponadto, aby wszystkie przedsięwzięcia zawsze były podejmowane w zgodzie z prawem każdego kraju: także z tego powodu zalecił, by prowadzić bardzo dokładną księgowość, aby zawsze móc szybko móc przedstawić wszystkie dokumentu wymagane prawnie.

Ponieważ te przedsięwzięcia mają typowo świecki charakter, także tu przyjął pewne kryterium - którego niektórzy nie rozumieli – by nie łączyć ich z działalnością wyznaniową czy pracami na rzecz Kościoła. Równocześnie nie chodziło o to, by ukrywać fakt udzielania głębokiej formacji katolickiej. I wprost podkreślał, że członkowie Opus Dei, podejmują te zadania zgodnie z prawem, jako swoją pracę zawodową. W taki sposób bronił praw obywatelskich, a w rzeczywistości praw katolików, których nie powinno się traktować

ani w pracy, ani też w korzystaniu z praw i obowiązków społecznych jako obywateli drugiej kategorii.

Jak wiadomo, nie brakowało różnego rodzaju problemów w prowadzeniu tej działalności, nawet ze strony niektórych katolików, w tym też księży, którzy nie rozumieli jej istoty. Trudności mnożyły się jednak przede wszystkim ze strony przeciwników Kościoła, którzy widząc, że nie da się zamknąć w kościołach ani w zakrystiach życia ludzi wierzących, i dostrzegając w tym zagrożenie dla własnej uprzywilejowanej sytuacji czy przewagi świeckich postaw, utrzymywali, że środowiska zawodowe nie są odpowiednie dla aktywności religijnej. Założyciel Opus Dei nigdy z powodu tych sprzeciwów nie utracił ani wiary, ani spokoju. Odważnie kontynuował pracę i, zaczynając od najbardziej świeckich społeczności, zachęcał do podejmowania działalności w służbie

dla innych, jednocześnie modląc się o rozwiązanie trudności i za osoby, które je stwarzały.

Od 1948 roku słyszałem, jak mówił o przyszłym apostołstwie z taką jasnością, że wszyscy, którzy go wówczas słuchaliśmy, byliśmy pewni, że to wkrótce nastąpi; i - dzięki Bogu - tak się rzeczywiście stało. Ale pragnę tu podkreślić, że prace te szły do przodu tylko dlatego, że brał pod uwagę właściwe środki, nie podejmując ryzykownych, nieprzemyślanych ruchów, które mogłyby się zakończyć zaniechaniem wielu zadań, z powodu braku odpowiedniego przygotowania.

Jednocześnie przypominał nam o konieczności, aby zawsze chodzić w Bożym tempie, nie programować Ducha Świętego i za każdym razem z niczym nie skrępowaną wspaniałomyślnością odpowiadać na wymagania, które stawia przed nami

nasze powołanie. Często nam powtarzał, że Pan w jakimś momencie może nas wezwać, niczym sługę z przypowieści, aby nam oświadczyć: *Redde rationem villicationis tuae* („Zdaj sprawę z twego zarządzania”; Łk 16,2). Z tym samym nadprzyrodzonym przekonaniem przypominał nam też nakaz otrzymany od Pana w innej przypowieści: *Negotiamini dum venio!* („Obracajcie nimi, aż wrócę”; Łk 19,13). W 1952 roku zauważył:

Trzeba zadziwić się wobec wielkości pracy, którą rozpoczęliśmy w służbie Kościoła. Taka jest wola Boża, On tego chce. Ty i ja sami nie damy rady: Panie! - błagaj Go nieustannie – gdzie są ci, którzy mają przyjść? Tajemnica tego, aby inni szli naprzód, aby zwiększała się liczba osób, które poznają Boga i będą z Nim obcować, tkwi w tym, by każdy z nas zmienił się w sposób definitywny.

5. Omnia in bonum!

- Wraz z założeniem Opus Dei – co przed chwilą stwierdziliśmy – życie księdza Prałata Escrivy otrzymało ostateczne światło. W pewien sposób to światło wyjaśnia udręki, jakie znosił w latach poprzednich. Inne przeszkody były związane z całym procesem akceptacji teologicznej i prawnej Dzieła, czym chciałbym, abyśmy się zajęli w innym momencie. Teraz może skupmy się na tych życiowych trudnościach, dopuszczonych przez Bożą Opatrzność, być może po to, by prowadzić go drogą doskonałości, zgodnie ze słowami zawartymi w Kuźni (245): **Jeśli nie będzie trudności, prace nie otrzymają ani ludzkiej przychylności... ani nadprzyrodzonej. – Jeśli przy wbijaniu gwoźdza w ścianę, nie napotkasz oporu, co będziesz mógł na nim powiesić?** Niektóre z tych sytuacji są znane, jak śmierć jego

*trzech sióstr: te rodzinne nieszczęście,
i przykład jego rodziców, niczym
żelazo w tyglu oczyszczały jego duszę.*

Ksiądz Prałat Escrivá opowiadał mi kiedyś, że gdy zmarła jego siostra Chon, po raz pierwszy z tak bliska zetknął się ze śmiercią. Pomimo że jego rodzice pragnęli uchronić go przed tym bólem, tak jak w przypadku śmierci jego małych sióstr Rosario i Lolity, on wykorzystując ich krótką nieobecność w domu, wszedł do pokoju, gdzie znajdowała się zmarła.

Wspominał, że gdy tak stał przed martwym ciałem Chon, odczuł wielki smutek i na zawsze zapamiętał ją w obrazie niewinnego dziecka z bardzo spokojną buzią: ogarnęło go wówczas przeświadczenie, że jest ona już u Bogiem, chociaż w tym wieku jeszcze nie rozumiał, dlaczego Pan zabrał jego trzy siostry, jedną po drugiej.

- A jak przyjął bankructwo przedsiębiorstwa rodzinnego...

Założyciel Opus Dei opowiadał, że to wydarzenie miało na niego jako młodego człowieka wpływ wieloraki. Z jednej strony zwiększył się jego szacunek wobec rodziców, gdy stwierdził ich chrześcijańską postawę, która pozwoliła im zachować radość i pokój; z drugiej zaś nie do końca był dla niego zrozumiały ich spokój i pozorny brak przeciwdziałania ze strony ojca; jego wielkoduszne wyrzeczenie się własnego majątku i zgoda na kompletny upadek ekonomiczny, który zmusił rodzinę do zmiany miejsca zamieszkania.

Mniej więcej w 1967 roku lub 1968, pewien członek Opus Dei przy okazji prowadzenia śledztwa w pewnych sprawach procesowych, którymi się zajmował z racji swojej pracy, natrafił na prawne orzeczenie, na

mocy którego postanowiono o upadku rodzinnego przedsiębiorstwa Escrivów w Barbastro. Przystudiował je dokładnie w świetle przepisów i ówczesnego prawodawstwa i doszedł do wniosku, że pozostawia wiele do życzenia z punktu widzenia proceduralnego, a ponadto dopuszczało do wystąpienia z natychmiastową apelacją roszczeniową, która mogłaby spowodować w stosunku do José Escrivy zwolnienie go od poważnych zobowiązań, które niegdyś wziął na siebie, aby nie pognębić finansowo swoich wierzycieli.

Przy okazji swojej podróży do Rzymu, opowiedział on Prałatowi Escrivie o swoim odkryciu.

Pamiętam, że Założyciel nie tylko nie chciał rozwijać tego tematu, ale także - nie przykładając większej wagi do całej sprawy - poprosił, aby zniszczono przywiezione kopie dokumentów.

W ten sposób swoim przykładem pokazał mi, co znaczy akceptować wolę Bożą, nawet gdy jej przyjęcie przychodzi z trudem i wymaga wyrzeczenia. Nauczył mnie także wystrzegania się próżnej ciekawości i unikania rozpamiętywania z upodobaniem niesprawiedliwego cierpienia. Nigdy później nie wypowiedział się na temat tych wydarzeń.

Także przy okazji tego wydarzenia, nie wyszła z jego ust najmniejsza pretensja pod adresem tych, którzy doprowadzili jego rodzinę do upadku, ani w stosunku do prawników, którzy mieli w tym zrujnowaniu swój udział, ani też przeciwko osobom, które wówczas, kiedy znaleźli się w całkowitej biedzie, odwróciły się do nich plecami.

- Z kolei wypada koniecznie wyjaśnić pewne przykrości, które musiał

znosić w seminarium w Saragossie, starając się być bardzo wyrozumiałym wobec tych, którzy mu dokuczali. To zostało już opisane w różnych publikacjach, które się ukazały po 1975 roku. Ale zawsze można dodać coś z osobistych wspomnień.

Od razu zdał sobie sprawę, z jakich środowisk pochodzą seminarzyści, i doskonale zrozumiał, że niektórzy z powodu braku wychowania, nie są przygotowani do zaakceptowania określonych zachowań.

To oczywiste, że wszyscy mamy tendencję do pewnej niedbałości. I jeśli inni nam nie pomogą, wady te mogą się pogłębić. Wśród chłopców obserwuje się większą skłonność do zaniedbywania odzieży czy porządku w pokojach. W tej kwestii Josemaría stosował bardzo jasne kryterium: dbał, choć bez przesady, o czystość osobistą i porządek wokół siebie.

Troszczył się o ubranie; o czystość w swoim pokoju; o dobre maniery podczas rozmowy, w czasie posiłków i w żartach. Również o dobre wychowanie we wzajemnym współżyciu; o słuchanie bez przerywania; o wyrażanie swoich opinii bez ranienia innych i o to, by uwzględniać ich skłonności i cechy charakteru.

Pewnego razu w rozmowie z księdzem del Portillo i ze mną wspomniał o konfliktach z kolegami, chociaż być może chodziło tylko o jedną osobę. Jednak bardzo szybko przeszedł nad tymi zdarzeniami, nie mówiąc nic złego o tym, który mu dokuczał.

Pewne wydarzenie zostało spowodowane przez pewnego seminarzystę, który na tle innych współuczniów wyróżniał się swoim opryskliwym, a nawet prostackim zachowaniem. W codziennym

współżyciu, w ten czy inny sposób, starał się dokuczać Josemaríi, krytykując go z ironią. Młodzieniec ten do tego stopnia stracił panowanie nad sobą, iż - będąc w La Seo[1] - wyraził się w sposób obraźliwy. Gdy Josemaría chciał mu przerwać, tamten odpowiedział ciosami, wykrzykując jeszcze gorsze obelgi, tak że Josemaría musiał się bronić przed jego atakiem.

Z tego powodu Josemaría został przywołany do porządku i musiał odcierpieć karę. Gdy przywodził na pamięć to wydarzenie, nigdy jednak nikogo nie obwiniął, ani nie osądzał niczyjego zachowania. Wspominał po prostu sam incydent, mówiąc na zakończenie, że karę zaakceptował, ponieważ tak postanowili przełożeni. Ani wówczas, ani później nie wracał do wydarzenia, by rozpatrywać, czy słusznie oceniono motywy jego reakcji wobec zachowania się tamtego seminarzysty.

W innym wydarzeniu główną rolę odegrał kolega-seminarzysta, który zupełnie nie dbał o swój wygląd zewnętrzny i osobistą higienę. Strasznie śmierdział potem i ostentacyjnie się z tym obnosił. Czasami podchodził do Josemaríi i napastliwie powtarzał w tonie drwiny: „Poznaj zapach prawdziwego mężczyzny!”. Widać jednak nie wystarczyło mu to, więc pewnego razu podnosząc rękę i przesuwając mu pachą przed samą twarzą, głośno wykrzykiwał znane zdanie. Josemaría odpowiedział zdecydowanie – **twardo**, jak to określili – że męskość nie ma nic wspólnego z brudem. Wszystko prawdopodobnie skończyło się na tym niechlubnym zachowaniu, bez dalszych następstw, ponieważ w żadnym dokumencie nie ma najmniejszej wzmianki przełożonych na temat tego wydarzenia. Ksiądz Escrivá de Balaguer, który nigdy nie wymienił z imienia tego swojego

kolegi, sam incydent skomentował mówiąc, że taka manifestacja złego wychowania, przejawiająca się w brutalności i przemocy, może być wyrazem głęboko ukrywanej pychy lub maskowaniem własnych słabości.

Z przyjemnością dodam też coś, o czym dowiedziałem się już później, po tym, jak Założyciel Opus Dei został powołany do przebywania w obecności z Bogiem. Otóż znalazłem bilet wizytowy od tegoż seminarzysty, który wywołał incydent w La Seo. Widniało na nim także miejsce jego pracy – kapelania szpitala Czerwonego Krzyża w Hiszpanii. Pod swoim nazwiskiem ów człowiek napisał kilka słów: „Żałuję, pełen pokory, i nie mam dla siebie żadnego usprawiedliwienia. *Mea culpa*”. Ksiądz Prałat Escrivá, gdy otrzymał tę wizytówkę, od razu mi ją oddał bez żadnego komentarza, aby ją przechować wraz z innymi

dokumentami. Potem schylił głowę i z właściwym sobie gestem oparł ją na dłoniach, pozostając tak przez kilka chwil z twarzą zamyśloną, pozwalającą domyślać się, że się modli. Nie mam najmniejszej wątpliwości, że w tym momencie modlił się za tamtego człowieka. Po latach mogłem stwierdzić, że jest to ta sama osoba, której nazwisko figurowało na adnotacji sporządzonej przez rektora seminarium, mówiącej o tym, że Josemaría odbywał karę za bójkę w La Seo. Założyciel Opus Dei nigdy nie wymienił jego nazwiska.

Musiał ten incydent roznieść się w środowisku przełożonych i kolegów seminaryjnych, ponieważ ksiądz Prałat Escrivá, kiedy wspominał o tym wydarzeniu, zazwyczaj uzupełniał je innym epizodem, który miał miejsce jakiś czas później na Uniwersytecie Papieskim, na Wydziale Prawa Kanonicznego,

kiedy to profesor don Elías Ger odniósł się do tego wydarzenia ilustrując je krótką historyjką.

Chodziło o pewnego wieśniaka, który zakupił cynamon w postaci gałązek i chciał go przerobić we własnym młynie. Kamienie młyńskie pochodziły z Niemiec. Zużyły się jednak, więc zamówił inne w pobliskiej fabryce, ale nie dostarczono mu ich. Ponieważ jednak bardzo ich potrzebował, pomyślał, że rozwiąże ten problem we własnym zakresie. Poszedł nad rzekę, przyniósł parę otoczaków i wstawił je w miejsce uszkodzonych kamieni. W niedługim czasie otoczaki odpowiednio się starły i młyn znowu ruszył. Profesor tak spuentował tę historię: w taki właśnie sposób Pan prowadzi dusze, chce wygładzić niektóre kanty lub przyspieszyć ich oddanie się i zawierzenie woli Bożej. Następnie

zwrócił się do Josemaríi i zapytał:
„Czy rozumiałeś mnie?”.

Josemaría nie wziął za złe tej aluzji. Przeciwnie, przechowywał ją niczym skarb, więc jego dusza przesiąkła tym, co później głosił w tak plastycznych słowach: **A mnie, kto będzie uświęcał, infułat Jan z Indii, z którym nie mieszkam i nie mam nic do czynienia? Uświęcają mnie osoby, które są przy mnie, wtedy gdy muszę walczyć, aby dopasować się do ich sposobu bycia, aby słuchać ich, służyć im, także poprzez braterskie upominanie.**

- Już w Madrycie, a potem w związku z założeniem Opus Dei boleśnie odczuwał różne kłopoty ekonomiczne. Ale gdy wspominał tamte czasy, najbardziej podkreślał brak wytrwałości u osób, które zbliżyły się do Dzieła w jego początkach.

Nigdy nie lękał się braku środków na zrealizowanie zadania, które polecił mu Pan. Powtarzał, że **dla nas, którzy pokładamy w Nim ufność, nie istnieje „nie”, ponieważ On wszystko może, zatem Jego wola wypełni się pomimo przeszkód, pomimo naszej własnej słabości i osobistych, właściwych każdemu ograniczeń.**

Mówiąc o tamtych latach, kiedy wydawało się, że ci, którzy przechodzili do niego, są gotowi do pójścia tą nową drogą, wyjaśniał, iż kosztowało go wiele cierpienia, gdyż wielu z nich zniknęło i nigdy więcej nie dali o sobie znaku życia:

Wymykali mi się z rąk jak piskorze, których w żaden sposób nie da się utrzymać. Nie zniechęciło go to jednak. Nadal pracował z wiarą, nadzieją i prawdziwą miłością, głęboko przekonany, że Dzieło musi iść do przodu, ponieważ jest to wola Bożą. Miał wewnętrzną

pewność, że całe Niebo angażuje się w jego urzeczywistnianiu.

Tamte pierwsze momenty nie były łatwe. Rzeczywiście, wielu z tych, którzy przychodzili do niego, czuło się pociągniętymi przez otwierające się przed nimi horyzonty. Jednak z biegiem czasu odchodzili lub przestawali korzystać z środków formacyjnych. Wielokrotnie zwierzał się nam, że przyczyn tych ucieczek doszukuje się w samym sobie, ponieważ nie poświęcał całej energii i uwagi tym duszom. Czynił wielkie wyrzeczenia i cielesne pokuty, jako zadośćuczynienie za oziębłość i niewdzięczność, które mogły zaistnieć w tych osobach, i z powodu tego, że - jak uważał - z jego strony jako pasterza nie dołożył wszelkich starań, aby otoczyć ich opieką.

- To wszystko ponadto miało miejsce w bardzo trudnych okolicznościach historycznych, które ostatecznie

doprowadziły do wojny domowej w 1936 roku.

Założyciel Opus Dei wycierpiał wiele upokorzeń i doświadczył wiele złego traktowania – rzucanych w niego kamieni oskarżeń, obelg, grubiaństwa. Wszystko to przyjmował z pokorą. Ale jeśli było konieczne, z całą mocą stawał w obronie nauki i praw Kościoła. W tamtych czasach, kiedy przyznanie się do tego, że jest się katolikiem, było bardzo niebezpieczne, nie zaprzestał głosić katechez w ubogich dzielnicach Madrytu i odwiedzać chorych przebywających w madryckich szpitalach. Owocem tego były rodzące się powołania pośród osób, które mu w tym towarzyszyły, jak również pośród samych chorych.

Bolała go wzrastająca w społeczeństwie nienawiść, ale nie przestawał powtarzać tym, którzy go otaczali, że nie można popadać w

rozpacz ani bać się okazywać, że jest się katolikiem. Podkreślał to mówiąc: **To jest czas pracy.** Tak samo czynił w każdej innej trudnej sytuacji.

Kiedy zradyzalizowały się stanowiska i wybuchła wojna domowa, przeciwstawiał się, co jest oczywiste, naruszaniu praw Kościoła i obywateli. Chociaż w tym czy w innym rozporządzeniu mieszały się różne sekciarskie postawy i popełniano samowolę, było jasne, że w tym, iż nazwano Hiszpanię republiką, przyjęto postawę zacieklej niechęci przeciwko wszystkiemu co katolickie, aż do tego stopnia, iż wystarczyło, że o jakiejś osobie wiadano, że jest kapłanem lub tylko katolikiem, aby ją aresztować i, po pobieżnym rozpoznaniu sprawy – lub w ogóle bez żadnego procesu – rozstrzelać.

Opowiadał mi biskup Álvaro del Portillo i też inni członkowie Opus

Dei, że nigdy od niego nie usłyszeli słowa żalu ani pretensji pod adresem prześladowców lub członków władz, którzy choćby przez swoją bierność, dopuścili do tych strasznych prześladowań. Co do mnie, słyszałem, jak kilka razy wspominał tamte wydarzenia, nigdy nie wydając sądu o kimkolwiek z odpowiedzialnych za tamte czasy gwałtu i niesprawiedliwości.

W głębi swej duszy cierpiał z powodu nieszczęść wojny i nieustannie się modlił o pokój w swoim kraju. Dla Opus Dei i jego członków, z Założycielem na czele, wojna oznaczała całkowite załamanie organizowania jakiejkolwiek pracy na zewnątrz. Starał się zatem przynajmniej ogarnąć swoje dzieci konieczną duchową opieką. To były czasy ich „wewnętrznego wzrastania”, dorastania do głębokiej dojrzałości, które przygotowywały ich do rozległej pracy apostolskiej.

- Chociaż dopiero co wspomnieliśmy o tym, warto jednak powrócić do tematu wewnętrznej postawy księdza Prałata Escrivy.

Przypomnijmy zatem pojawiające się w prasie nieuzasadnione komentarze do punktu 311 Drogi: „**w I kor. uzup.**”.

Wobec różnego rodzaju krzywd i przemocy skierowanej przeciwko Opus Dei, duchowieństwu, instytucjom religijnym i w ogóle przeciwko ludziom, objawiał się jego duch zadośćuczynienia za zniewagi wyrządzane Bogu; przepraszał za tych, którzy je popełniali.

Już w 1939 roku działał na rzecz pogodzenia różnych frakcji działających w Hiszpanii, pomiędzy którymi wraz z wybuchem II wojny światowej pogłębiły się różnice. Z całą mocą angażował się w łagodzenie wzajemnych urazów, podejrzliwości i wrogości. Wszyscy,

którzy doświadczali serdecznego i pełnego wyrozumiałości traktowania, widzieli, że jego serce katolickie jest uniwersalne. Odnosiło się to także do osób, które nie kryły swojej negatywnej postawy czy nastawienia wobec jego sposobu pracy czy myślenia.

Własną postawą uczył swoje dzieci, pozostawiając im jednocześnie całkowitą wolność co do spraw doczesnych, że nie można nikogo dyskryminować ani pomijać. Głosił – słowem i czynami – że jako katolicy musimy być narzędziami jedności: mieć niewzruszoną postawę w kwestiach nauki wiary, ale zawsze wykazywać świętą ustepliwość wobec osób. Powtarzał, że tylko głęboka przyjaźń, pozwalająca słuchać i mówić bez ranienia innych, może sprawić, że ludzie będą zbliżali się do Boga.

Założyciel Opus Dei wspomniał kiedyś o pewnym wydarzeniu, które pokazuje otwartość jego kapłańskiej duszy i bezwarunkowy szacunek wobec wolności innych osób. Około 1941 roku przychodził do Seminarium w Madrycie, aby spowiadać się u księdza José Marii García Lahiguery. Czasami, aby tam dojechać nie tracąc zbyt dużo czasu, brał taksówkę, tym bardziej, że było to daleko, a komunikacja miejska nie funkcjonowała w tym czasie najlepiej. Tego dnia rozmawiając z taksówkarzem, powiedział mu, że bardzo ubolewa z powodu wojny, która przynosi tyle cierpienia Hiszpanii. Można przecież żyć jak bracia i wzajemnie się szanować, nawet jeśli reprezentuje się różne stanowiska. Wyjaśniał mu, że wcale nie było konieczne uciekanie się aż do takich potworności, które są odbiciem satanicznej nienawiści pomiędzy braćmi. Ponadto – kontynuował – jest słuszne, aby

każdy miał prawo do własnego zdania: **Na przykład, jeśli pan w jakiejs konkretnej materii myśli inaczej niż ja, co innego uznaje za prawdę, wówczas rozmawiamy. I jeśli pan mnie przekona, przyjmuję pana zdanie, a jeśli ja pana przekonam, pan przyznaje mi rację. Jeśli się wzajemnie nie przekonamy, wówczas każdy pozostaje przy swoim zdaniu, ale nadal żyjemy w świętym pokoju, wzajemnie się szanując i miłując jako bracia.** Taksówkarz w milczeniu wysłuchał tego, po czym zapytał: „Ojczy, przebywasz w Madrycie podczas wojny, gdy został zajęty przez siły republikańców?”. Ksiądz odparł zdziwiony: **Tak.** Wtedy ów mężczyzna powiedział: „Szkoda, że księdza nie zabili!”. Założyciel Opus Dei wybaczył mu to od razu, a żeby pokazać, że nie żywi do niego żadnej urazy, wyjął z kieszeni pieniądze i płacąc za kurs, zapytał: **Czy ma pan dzieci?** Gdy taksówkarz

odpowiedział twierdząco, dodał:
**Proszę zatrzymać resztę, na
cukierki dla dzieci.**

W środowiskach, w których mógł działać, Założyciel podkreślał, że trzeba kochać pokój i robić wszystko, aby między narodami panowała zgoda. Zwracał się z prośbą do członków Opus Dei i ich przyjaciół, aby modlili się do Boga, za pośrednictwem Świętej Dziewicy, o przywrócenie pokoju, o to, by ideologie nazistowska i komunistyczna nie wywierały dłużej swojego wpływu.

Ponieważ było pewne ryzyko, że Hiszpania także postanowi wejść w konflikt, modlił się i wszystkich prosił o modlitwę, aby ją to ominęło. Przewidując niebezpieczeństwo nowego rozproszenia się członków Opus Dei, po tym, co stało się z powodu wojny domowej. Codziennie błagał Boga w modlitwie, aby nie

dopuszczył do ponownego zatrzymania działalności apostolskiej Dzieła i by pozwolił mu umocnić fundamenty, które On sam położył przyprowadzając pierwsze osoby do Opus Dei i wiele następnych, które właśnie zgłaszały się.

Dlatego wobec groźby nowego rozproszenia, chciał, aby wszyscy jego synowie i córki odmawiali z wiarą w Preces Dzieła tę modlitwę: *Dominus illuminatio mea et salus mea, quem timebo? Si consistent adversum me castra, non timebit cor meum; si exsurgat adversum me proelium, in hoc ego sperabo* [„Pan światłem i zbawieniem moim: kogóż mam się lękać? (...) Chociażby stanął naprzeciw mnie obóz, moje serce bać się nie będzie; choćby wybuchła przeciw mnie wojna, nawet wtedy będę pełen ufności”: Ps 27, 1.3].

- *Powiedział Ksiądz wcześniej, że Założyciel Opus Dei we wszystkim*

*dostrzegał działanie Boga i że w obliczu nawet najbardziej przykrych wydarzeń miał zwyczaj powtarzać: **Bóg wie lepiej, albo Omnia in bonum!** Tak samo czynił, kiedy trudności dotyczyły jego osoby.*

Byłem świadkiem momentów, kiedy bardzo cierpiał z powodu zupełnego niezrozumienia, ale nigdy nie utracił pokoju czy dobrego humoru, nie zmienił planów swojego życia ani swojej pracy, ani trochę nie uszczuplił swojego zaangażowania apostolskiego w służbie Kościoła. W 1970 roku przeżywał czas wielkiego sprzeciwu ze strony dobrych ludzi. Opowiadał nam, księdzu Álvaro del Portillo i mnie, jak na to reagował: **W tym ostatnim czasie Pan dopuścił, abym otrzymał bardzo trudne doświadczenia oczyszczające mnie. Ale nie przywiązuję wagi do tego, co mówi się na mój temat w Rzymie czy w jakimkolwiek innym miejscu. Dla mnie jest ważne, aby**

**prorowadzić powierzone mi dusze.
Trzeba umieć wszystko cierpliwie
znosić, z pogodą, nie robiąc
tragedii!**

Mniej więcej w latach
sześćdziesiątych po Rzymie zaczęła
krążyć plotka, że jest umierający,
zamknięty w szpitalu
psychiatrycznym. Widziałem jego
reakcję pełną Bożej miłości i miłości
wobec osób, które wylansowały to
ordynarne i przykre kłamstwo. Tak
komentował je w naszej obecności:
**Śmierć? Jaki komfort! Jeszcze, z
łaską Bożą i dopóki On pozostawia
mnie na tej ziemi, muszę wydać
wiele wojen, aby rozrzucić to
błogosławione ziarno Opus Dei, w
służbie Kościoła i dusz. Mówią, że
zamknięto mnie w szpitalu
psychiatrycznym, tym dla
wariatów. Oczywiście, mają rację,
jestem szalony z miłości do Boga i
proszę Go, aby powiększał to moje
szaleństwo. Dla księdza Prałata**

Esquivy to pomówienie, które bez
żenady rozpowszechniano po
różnych środowiskach kościelnych i
świeckich Rzymu, a nawet
przekroczyło granicę i przedostało
się do innych krajów, również stało
się wydarzeniem, w którym dostrzegł
dopust Bożej Opatrzności w celu, aby
jeszcze bardziej wyrzekął się
własnego ja.

W różnych momentach z humorem
mówił, że w obliczu Boga widzi
siebie **jako marny proch albo jak
worek kości pozbawionych sił
fizycznych, pełen strupów i nędzy,
jako osobistość odrażającą bez
żadnego wdziku. Ale jednocześnie,
czy może być to dla mnie ważne,
jeśli wiem, że Bóg mnie kocha, że
ufa mi, że Bóg posługuje się mną
takim, jakim jestem, i nie chce dać
mi nic więcej tu na ziemi. Jestem
szczęśliwy, ponieważ takiego
właśnie mnie kocha!**

Kiedy skarżyłem się na coś w jego obecności, zazwyczaj zwracał mi uwagę w taki sposób: **Jak długo modliliśmy się w tej konkretnej sprawie? Jaka była nasza modlitwa? Czy była pełna wiary? Czy nieustanna? Czy modliliśmy się, aby szukać jedynie i wyłącznie chwały Bożej?** Każdego pobudzał, aby stawać się człowiekiem modlitwy, jednakże szczególnie kładł na to nacisk, gdy rozmawiał z kimś, kto był odpowiedzialny za dusze. Prosił nas, abyśmy problemy, które nas zajmują, przedkładali Bogu. Dopiero wtedy zobaczymy, jak wiele z nich szybko się rozwieje, ponieważ – gdy spojrzymy na nie **od strony w rzeczywistości nadprzyrodzonej** – w Bożym świetle odkryjemy ich pozytywny sens. Dawał nam przykład osoby z nosem przyklejonym do muru o wysokości 1,7 m. Taka bariera wydaje się jej nie do pokonania; ale jeśli oddali się trochę, stwierdzi, że gdy weźmie

rozbieg, z łatwością ją
przeskoczy: **Tak samo dzieje się z
działalnością, która jest wspierana
modlitwą i widziana z Bożej
perspektywy. Rozumie się wtedy,
że wszystkie trudności trzeba
przeskakiwać i przewycięzać z
rozpędem i mocą Boga, który jest
Panem wszystkiego.**

- I w tym kontekście jest zrozumiały
 optymizm, który przekazywał
swojemu otoczeniu, bez względu jak
ciężkich przeszkód doświadczał.

O swoim życiu w Opus Dei mówił
krótko: **To historia Bożego
miłosierdzia.** Kiedyś wyraził to
zwięźle słowami pełnymi
wdzięczności wobec Boga: **W każdej
chwili historii Dzieła były praca,
miłość, łzy, wysiłek i zawsze
radość.**

Dlatego wymagał, abyśmy go
informowali o problemach, nawet o
tych bardzo poważnych. Stale z

naciskiem potwierdzał, że jest jego obowiązkiem znać je, nawet jeśli będzie musiał cierpieć. I zdecydowanie udzielał reprimendy każdemu, kto z powodu fałszywie rozumianej miłości usiłował zaoszczędzić mu cierpienia. Wyjaśniał nam, że nie może rezygnować z odpowiedzialności i pomimo własnej słabości powinien nosić te ciężary z radością, uświadamiając sobie że Bóg zawsze daje swoje światło poprzez tych, których wybrał jako pasterzy.

Mówił, że nie ma róż bez kolców i gdy się je zrywa, często nie da się uniknąć ukłucia. W 1956 roku radził nam: **Drogi Boże nie są wysłane wyłącznie różami. Rosną tam także ciernie, które przemieniają się w róże, kiedy stajemy w obecności Boga. Może nas kosztować to, o co On nas prosi. Ale wystarczy powiedzieć: Panie, Ty tego chcesz, więc ja także chcę tego. I cierpienie**

**przemienia się zawsze w radość,
ponieważ w taki właśnie sposób
nasz Pan pragnie z nami obcować!**

W sierpniu 1961 roku, gdy bardzo
cierpiał z powodu sprzeciwów,
powtarzał nam:**Z każdej
przeciwności na drodze, także z
kolców, trzeba wyciągnąć dobry
Boży smak, który sprawia, że
odbieramy nadprzyrodzoną woń i
aromat poprzez wydarzenia,
których nawet możemy nie
rozumieć.**

W sierpniu 1972 roku, niezwykle
zwięźle wyraził motywy swojej
nadziei:**Mamy poświęcić swoje
życie, wszystko, kochając Pana z
całych swoich sił i wiedząc, że nie
zabraknie okazji do ofiary i
trudności w naszej pracy. Ale
zapewniam was, jeśli będziemy tak
żyli, będziemy szczęśliwi:
szczęśliwi doświadczając
obecności Boga i żyjąc dla Niego.
Nigdy nie tracimy punktu widzenia**

**nadprzyrodzonych racji; ponieważ
racje nadprzyrodzone są
najbardziej rzeczywiste i
najważniejsze.**

[1] Kościół katedralny w Saragossie.

pdf | dokument generowany
automatycznie z <https://opusdei.org/pl-pl/article/wspomnienia-o-swietym-josemarii-escrivie-zalozycie/>
(31-03-2026)